

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 348

EDMUND DEMOLINS.

POTEGA WYCHOWANIA.

„Od czego zależy wyższość rasy Anglo-Saksońskiej”.

Przekład z francuskiego.

WYDANIE NOWE.

CZEŚĆ II.

Cena 30 cent.



W prenum. 26⁹/₁₀ cent.

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, Plac Maryacki I. 4.

Pieniądze na prenumeratę należy nadsyłać wprost do Administracyi.

EDMUND DEMOLINS.

~~N^o 1040~~

1460

POTĘGA WYCHOWANIA. [2]

„Od czego zależy wyższość rasy Anglo-Saksońskiej“.

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

WYDANIE NOWE.

Część II.

N^o 1334

WARSZAWA.

Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

—
1904.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Августа 1904 года.

KSIEGA III.

Francuz i Anglo-Sas w życiu publicznem.

W rozdziałach poprzednich usiłowałem wykazać różnice, zachodzące między typem francuskim a anglo-saksońskim w zakresie szkoły i życia prywatnego; w następnych postaram się wykazać i wyjaśnić różnice, uwydatnione w życiu publicznem. Zdaje mi się, że tym sposobem zdolam wyświecić główne przyczyny, które dziś w różnych kierunkach organizacji społecznej dają rasie anglo-saksońskiej przewagę w walce o byt.

Uwydatniając zaś różnice, wskażemy jednocześnie kierunek, w jakim nam postępować należy, aby odeprzeć groźny napór tej rasy.

ROZDZIAŁ I.

Personel polityczny we Francyi i w Anglii.

Wszystkie zgromadzenia prawodawcze na pierwszy rzut oka są do siebie podobne. Z wysokości trybuny widzów Rada Państwa austriacka, sejm nie-

miecki, Izba gmin w Anglii, parlament włoski i francuska Izba deputowanych, robią wrażenia dość jednostajne. Na zasadzie tego wrażenia widz, niewtajemniczony w arkana polityczne, mógłby orzec, iż rządy tych krajów są do siebie podobne, że wszyscy trzymają się jednakowego porządku parlamentarnego i że główna różnica polega na zmiennym stosunku rozmaitych partyj.

Tak bowiem wygląda to, „co się widzi”—według wyrażenia Bastiat'a, ale po za tem jest jeszcze to, „czego się nie widzi“, a co jednak dojrzec trzeba.

Nie widzi się np., z jakich sfer społecznych rekrutują się przedstawiciele narodu, ani też stosunku, w jakim są reprezentowane w parlamencie rozmaite zawody, choć te szczegóły mają bardzo ważne i doniosłe znaczenie.

Każdy bowiem zawód wywiera na człowieka wpływ silny, wyrabia w nim specjalne zdolności, odrębny sposób myślenia i odmienne zapatrywania. Rolnik, przemysłowiec, kupiec, lekarz, adwokat, żołnierz i urzędnik, nietylko reprezentują interesy różne, ale także z innego punktu patrzą na sprawy ogólne i należą do rozmaitych grup społecznych. Różnorodne te interesy nie zawsze mają jednaką doniosłość dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa, a w każdym razie wywierają wpływy różne, które mogą być odmienne, a nawet z sobą sprzeczne. Z tego wynika, iż skład reprezentacji narodowej może być bardzo różnorodny, odpowiednio do ustroju krajów i zawodów, które w nim są najbardziej poszukiwane i cenione. A stosownie do przewagi tych, lub innych zawodowców, reprezentacja narodowa będzie inaczej myślała, inaczej się zachowywała, inaczej wreszcie działała.

Nie bez trudności i po dość długiej pracy przestudyowania życiorysów naszych posłów doszedłem do zgrupowania ich systematycznie, według ich za-

wodów, czego nikt przedemną nie uczynił. Otóż według tej klasyfikacyi mamy:¹⁾

| Zawód | lewi- ca | pra- wica | ra- zem | łącz- nie | w zesta- wieniu |
|-------------------------|-------------|--------------|------------|--------------|----------------------|
| Właściciele ziemskich | 8 | 17 | 22 | 72 | Roln. 72 |
| Rolników | 13 | 37 | 50 | | |
| Przemysłowców | 27 | 14 | 41 | 41 | Przem. 41 |
| Kupców | 14 | 3 | 17 | 22 | Handl. 22 |
| Bankierów | 2 | 3 | 5 | | |
| Profesorów uniwersytetu | 12 | — | 12 | 12 | Zawody liberalne 270 |
| Doktorów | 47 | 3 | 50 | 53 | |
| Aptekarzy | 3 | — | 3 | | |
| Inżynierów cywilnych | 5 | 2 | 7 | 7 | |
| Dziennikarzy | 54 | 5 | 59 | 59 | |
| Prawników | 5 | 1 | 6 | 139 | |
| Notaryuszów | 14 | 3 | 17 | | |
| Obrońców | 9 | — | 9 | | |
| Adwokatów | 81 | 26 | 107 | | |
| Duchownych | 1 | 1 | 2 | 2 | |
| Oficerów armii | 1 | 2 | 3 | 6 | Armia 6 |
| Oficerów marynarki | 1 | 3 | 3 | | |
| Urzędników | 12 | 11 | 23 | 95 | Urzęd. 95 |
| Urzędników administrac. | 39 | 33 | 72 | | |
| Bez specjalnego zawodu | 22 | 21 | 43 | 43 | Bez s.z. 33 |

W wykazie powyższym uderza przedewszystkiem jego nierównomierność, pochodząca ze stosunku, w jakim znajdują się rozmaite zawody w nim wyliczone.

¹⁾ Musiałem wyrzec się rozklasyfikowania 43 deputowanych, którzy nie mieli właściwie żadnego zawodu, w ich liczbie zamieściłem 6 robotników, tych bowiem należałoby zaliczyć również i do dziennikarzy. O kilku wreszcie deputowanych nie mogłem zebrać żadnej wiadomości, to wszakże na ogólny rezultat nie wpływa. Skład izby, wybrany po wydaniu niniejszej książki, jest bardzo zbliżony do tego, jaki tu podałem. Zawody liberalne są w niej nawet liczniej reprezentowane, gdyż jest 280 członków, zamiast 270. (Przyp. autora).

Następnie dziwnem się wydaje, iż zawody praktyczne: rolnictwo, przemysł i handel, są tak słabo liczebnie przedstawione, gdy przeciwnie, zawody liberalne i urzędnicy państwowi tworzą poważną część przedstawicielstwa narodowego.

Stosunek ten uwydatni się jeszcze bardziej rażąco, gdy porównamy go ze składem narodowej reprezentacji w Anglii, w której zasiada: ¹⁾

| | |
|-------------------------------------|-----|
| Rolników | 132 |
| Przemysłowców | 131 |
| Kupców | 100 |
| Przedstawiciele zawodów liberalnych | 107 |
| Wojskowych | 66 |
| Urzędników | 47 |

Liczba przedstawicieli ze sfer rolniczych okazałaby się jeszcze znacznieszą w Anglii, gdyby wziąć w rachubę izbę lordów, do której wchodzi prawie wyłącznie właściciele wielkich posiadłości ziemskich. ²⁾ Tymczasem we Francji skład senatu jest podobny do składu izby.

Znając już dokładnie wzajemny stosunek liczebny przedstawicieli różnych zawodów w naszej izbie deputowanych, rozważmy poszczególnie znaczenie każdego zawodu.

II.

Rozpocząłem swój wykaz od rolnictwa, przemysłu i handlu, gdyż te trzy zawody obejmują naj-

¹⁾ Wykaz ten ułożyłem według *The New house of Commons*, London, *Pal Mall Gazette Office*, uzupełniając ten dokument prywatnymi informacjami.

²⁾ Warto przeczytać w „Notatkach o Anglii“, jak Taine tłumaczy, dlaczego Anglicy znajdują we właścicielach ziemskich swoich „reprezentantów naturalnych“ i wybierają ich do parlamentu.

niezbędniejsze prace, bo dostarczające chleba codziennego, a zatem inne czynności po nich dopiero następować mogą. Gdy cierpią powyższe trzy podstawowe zawody, cierpi także całość organizmu społecznego, a gdy podupadają, podupada razem z niemi całość, jak ciało ludzkie, skoro przestanie się odżywiać.

Spółczeństwo, ściśle rzecz biorąc, może istnieć bez adwokatów, dziennikarzy, sędziów, urzędników i doktorów, ale obejść się nie zdoła bez rolników, dostarczających mu żywności, przemysłowców, wyrabiających przedmioty koniecznej potrzeby, i kupców pośredniczących w sprzedaży wyrobów pracowników dwóch pierwszych kategorii.

Tymczasem, cóż nam wyjawia tabelka składu izby? Oto, że te trzy podstawowe zawody są bardzo słabo w niej reprezentowane. Stanowi to punkt dość ważny, a doniosłość jego pojmiemy jeszcze lepiej, gdy badać będziemy w dalszym ciągu kolejno każdy zawód oddzielnie.

Przeгляд taki od rolnictwa rozpoczynać należy, gdyż ono jest bardziej niezbędne dla narodu, niż przemysł i handel, nietylko dlatego, że go żywi, ale także ze względu i na to, że ze wszystkich zawodów jest zawodem najbardziej niezmiennym. Wyradza to poniekąd stałość gruntu, na którym praca ta się odbywa, nie podlegając tak częstym i nagłym a zasadniczym przewrotom, jakie zachodzą w handlu i przemyśle. Rolnictwo pozostaje więc niezmiennem aż do rutyny i złąd zwyczaj uważania chłopca za rutynistę.

Dzięki właśnie niezmienności swego zawodu, rolnicy stanowią dla społeczeństwa podstawę gruntowną, bo tworzą niby jądro ludności głęboko przywiązanej do ziemi ojczystej i tradycyi kraju i z ich to szeregów najwięcej zwolenników trwałego porządku wychodzi. Niestety, w naszej izbie liczba rolników

nie jest wcale odpowiednio ustosunkowaną. Wszakże w izbie francuskiej zasiada zaledwie 72 rolników, znaczenie zaś tej cyfry maleje w zestawieniu z liczbą 270 przedstawicieli różnych zawodów liberalnych. Nie na tem koniec, gdyż trzeba jeszcze odtrącić z liczby rolników pewien zastęp wielkich właścicieli ziemskich, których zaliczyć do tej kategorii musiałem, bo nie mają innego dochodowego zajęcia, a którzy, właściwie mówiąc, o tyle tylko interesują się rolnictwem, o ile z niego pobierają dochody, głośno żaląc się na kryzys rolny, gdy ten dochody ich obniży.

Przynajmniej 22 deputowanych jest tylko nominalnie rolnikami. Mieszkają stale w Paryżu, a na wsi przebywają w lecie czas krótki i byłiby bardzo zakłopotani, gdyby w sprawach rolnych, np. o wartości różnych systemów plodozmianu, wydajności ziemi, korzyściach nawozów sztucznych, tuczeniu bydła i t. p. zasięgano ich zdania.

Właściwie przeto liczba deputowanych rolników w izbie francuskiej ogranicza się do 50-ciu, a jeszcze nie jestem zupełnie pewny ścisłości ich fachowych kwalifikacyj, których lepiej zbyt dokładnie nie badać.

Nie jest to wszakże naturalne, aby zawód, tak ważny jak rolnictwo, przez swoją doniosłość społeczną i liczbę zatrudnionych w niem osób, miał tak niewielu przedstawicieli w reprezentacji narodowej.

Fakt ten, tak różny od stosunku liczebnego rolników, jaki stwierdziliśmy w parlamencie angielskim, musi mieć przyczynę poważną i oddawna już oddziaływającą. Przyczyną tą jest usunięcie się właścicieli wielkich posiadłości od rolnictwa i porzucenie wsi dla miasta. Masową emigrację przed dwoma wiekami rozpoczęła szlachta, tłocząc się na dwór wersalski, by się tam na dworaków urabiać, a obecnie ciśnie się do miast inteligencja wiejska.

Niema może kraju, w którymby rolnictwo było tak zaniedbywane i lekceważone, jak we Francyi. Ojcowie rodzin kierują synów na agronomów dopiero wówczas, gdy widzą, że są oni niezdolni do żadnej innej karyery. Mieszkanie we własnym majątku uważane jest za rodzaj wygnania, bo Francuz woli być urzędnikiem w małej mieścinie, niż na własnej wsi gospodarować.

Na dowód powszechnego lekceważenia rolnictwa przytoczyć mogę przykład prasy republikańskiej, która w r. 1871, pragnąc zdyskredytować pewną grupę posłów Zgromadzenia Narodowego, nazywała pogardliwie „wieśniakami“ tych deputowanych, przeciw którym występowała. Nie brak zresztą i innych przykładów niechęci do życia wiejskiego, u nas odczuwanej; i tak naprz.: dawny proboszcz Paryża, a obecnie biskup, w którego dyecezyi mieszka jeden z moich przyjaciół, wyrażał mu swoje z tego powodu zdziwienie: „Jak to? pan się przymuszasz do przebywania stale w swoich dobrach i osobistego kierowania ich zarządem? Wszak przy pańskim majątku mógłbyś pan doskonale żyć w Paryżu.“ Gdy ludzie poważni z takiego stanowiska zapatrują się na życie wiejskie, nie można się dziwić, że rolnictwo jest reprezentowane w izbie nielicznie, a co gorsza—źle.

Właściciele wielkich posiadłości sami są winni, że ich wyborcy pomijają na korzyść doktorów, notaryuszów, obrońców i adwokatów.

Nie zapomnę nigdy rozmowy, którą słyszałem kiedyś u Le Play'a. Było to nazajutrz po wyborach do izby; w mojej obecności przyszedł jeden z kandydatów, właściciel wielkiej posiadłości, z oznajmieniem, iż nie został ponownie wybrany. Było to tembardziej przykre dla owego kandydata, że jeszcze dziad jego, następnie ojciec, a wreszcie on sam, stale reprezentowali swój okręg w izbie. Użalał się więc gorzko, wyrzekając na niewdzięczność wybor-

ców, przewrotne dążności, rozwój rewolucyjnych zachcianek i t. p. Le Play przerwał jego skargi zapytaniem: „Kochany hrabio—rzekł—gdzie mieszkał pański dziad?“—W swoich dobrach, z których prawie nie wyjeżdżał.—„A ojciec?“—„Po ożenieniu musiał się przesiedlić do Paryża.“—„A hrabia?“—„Również.“—„W takim razie—odparł Le Play nieco szorstko—skargi pańskie na wyborców nie wydają mi się uzasadnionemi. Proszę pamiętać, iż byli oni wierni ojcu, a nawet dotychczas i hrabiemu, pomimo, że hrabia wśród nich nie mieszkał, nie zajmował się ich sprawami, nie wydawał dochodów ze swoich dóbr w okolicy, Z czasem to im się jednak sprzykrzyło i wybrali człowieka, do którego, widując go codziennie, mogli przynajmniej w razie potrzeby zwrócić się o radę lub poparcie. To też człowiek ten zajął stanowisko, opuszczone już przez dwa pokolenia“.

Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek później spotkał u Le Play'a tego zawiedzionego kandydata na posła. Historia wszakże jego jest historią jedną z wielu. Zdaje się, że wkrótce tak samo będzie i z właścicielami wielkich posiadłości, wybieranymi do parlamentu w prowincjach zachodnich. Jeżeli bowiem są dziś jeszcze wybierani, choć większość ich przesiedliła się na stałe do Paryża, to tylko dzięki tradycyi ich ojców, którzy stale mieszkali w swych dobrach.

Po rolnictwie przemysł i handel, dwa najbardziej zasadnicze żywioły dobrobytu narodowego, są jeszcze słabiej reprezentowane w izbie francuskiej, gdzie przemysłowców zasiada 41, a kupców 22.

W ręku tych ludzi skupione są interesy doniosłej wagi, zatrudniają oni przytem znaczną ilość jednostek, a mimo to spotykamy ich tak mało w izbie.

Nie można im zarzucić, jak naszym właścicielom wielkich majątków ziemskich, iż zaniedbują

swój zawód, gdyż handel i przemysł jeszcze bardziej niż rolnictwo wymagają stałej i codziennej obecności swego właściciela. Oddalenie lub nawet tylko pewne lekceważenie z jego strony może łatwo rozwinąć przewagę jego współzawodników i stać się powodem jego ruiny. Wobec tego ciągła potrzeba obecności u steru interesów nie daje się pogodzić z formą naszego rządu.

W kraju tak zcentralizowanym, jak Francya, gdzie wszystkie sprawy najdrobniejsze zależą od władzy centralnej i rozstrzygane są przez reprezentację narodową, obrady trwać muszą przez większą część roku. Przedłuża je zaś jeszcze i charakter posiedzeń, często mitrężonych interpelacyami, bezprzedmiotową dyskusją, osobistemi docinkami, a nawet żartami i żakowskiemi figlami, wypływającemi z przyzyczyn, które później rozpatrywać będziemy.

Wszystko to zabiera bardzo wiele czasu i wymaga niemal nieustannych obrad zgromadzenia narodowego. Trudno zaś żądać, aby przemysłowcy i kupcy stale zaniedbywali swoje interesy; to też rzadko się na to decydują i nie śpieszą gromadnie ze swoją kandydaturą, tembardziej, że położenie kandydata nie jest bynajmniej rozkoszne dla ludzi seryo, nawykłych do poważnego traktowania spraw doniosłych. Trzeba narażać się na gwałtowne ze złą wiarą napaści, oszczerstwa i obelgi prasy przeciwnego obozu. Występować trzeba na zebraniach publicznych, nie odznaczających się wcale ani zdrowym sensem, ani spokojem. Aby dotrzymać placu takiemu audytoryum, potrzebne jest nietylko nawyknienie do przemawiania publicznie, ale jeszcze należy umieć pochlebiać i szafować obietnicami niewykonalnemi i sypać hojnie puste, lecz dźwięczne frazesy.

Do takiej roli nie przygotowuje prowadzenie interesów wielkiego handlu i przemysłu, które anu

nie wyrabia potrzebnych do tego zdolności, ani wreszcie zamiłowania.

Przemysłowcy i kupcy, stawiający swoją kandydaturę, są to zwykle albo ludzie, którzy zyski swoje już zabezpieczyli, a zatem po części wycofali się z interesów przemysłu i handlu, albo też tacy, którym się przedsiębiorstwa nie powiodły, a przeto już nie mają wiele do stracenia.

Skutkiem tego wszystkie trzy zasadnicze i prawdziwie narodowe zawody, jako to: rolnictwo, przemysł i handel, są tak nieliczne, oraz nieodpowiednio reprezentowane w izbie francuskiej.

Któż nas jednak reprezentuje?

III.

Wróćmy do naszego wykazu.

Po zawodach praktycznych, o których mówiliśmy już powyżej, widzimy w tabelce poważną cyfrę przedstawicieli zawodów liberalnych, obejmującą prawie połowę reprezentacji narodowej. Grupa ta składa się z 270 posłów, a zatem przewyższa dwa razy razem wziętą liczbę rolników, przemysłowców i kupców. W grupie zawodów liberalnych, jak nas o tem cyfry pouczają, większość stanowią: doktorzy, dziennikarze, rejenci, a zwłaszcza znaczną jest liczba adwokatów.

Przyjrzyjmy się z kolei tej masie i spróbujmy zapoznać się ze składającymi ją żywiołami.

Doktorów i aptekarzy w izbie statystyka wykazuje 53, to znaczy — prawie tyle, co i rolników, a znacznie więcej, niż przemysłowców i kupców.

Czyżby zawód lekarski również specjalnie przygotowywano do pielęgnowania ustroju społecznego? Przy najlepszych jednak chęciach trudno dostrzedz

związek między terapeutyką medyczną a społeczną. Nie widzimy również, aby pomyślność społeczeństwa była warunkowana ilością lekarzy, jak warunkuje ją liczba i wartość rolników, przemysłowców i kupców. Czyżby wreszcie doktorzy silniej od zawodowców praktycznych odczuwali następstwa politycznych zaburzeń i rewolucyj socjalnych? Gdyby tak było, możnaby przypuścić, iż dążyć będą usilniej do zażegnania niebezpieczeństwa publicznego. Tymczasem przeciwnie, kryzysy polityczne oddziałują zgubnie na rozwój zajęć praktycznych, a medycyny nie dotyczą wcale, gdyż jej rozwój zależy nie od porządku społecznego, lecz od fizycznych nędz ludzkich.

Znaczna liczba lekarzy, zasiadających w parlamencie, zadziwiać musi także z powodu wielkiej ciągłości, jakiej praktyka lekarska wymaga. Niepodobna praktyki tej przerywać bez narażenia się na utratę pacjentów, gdyż chorzy nie czekają. Lekarze zaś, mający praktykę, dbają o nią, aby chcieli ubiegać się o głosy wyborcze; zostają deputowanymi zwykle tylko ci, którzy praktyki nie mają, a przeto nie przedstawiają sobą sił najprzedniejszych i, jako tacy, nie mogą być poważnym czynnikiem i w reprezentacji narodowej.

Dlaczegoż jednak tak wielu z nich wybierają?

Aby ten fakt wyjaśnić, trzeba wpierw o dwóch innych pomówić.

Najpierw większość deputowanych lekarzy należy do lewicy tak dalece, że na ogólną cyfrę 53 doktorów i aptekarzy tylko 3 zalicza się do prawicy.

Nierówność tego podziału nie wynika bynajmniej z właściwości zawodu. Obserwując stan lekarski wogóle, nie można dostrzedz tak olbrzymiej, prawie wyłącznej przewagi żywiołu demokratycznego, lekarze zwykle nawet mało zajmują się poli-

tyką ze względu na swoje stanowisko i rozrost praktyki.

Zarzucić można, iż wzgląd powyższy nie wpływa na doktorów deputowanych, którzy nie są wybitnymi siłami w swoim zawodzie i wogóle mają mało pacjentów. Na to zgoda. Dalej nasuwa się przypuszczenie, iż lekarze deputowani, rozgoryczeni własną nieudolnością, odczuwają żal do społeczeństwa i pod wpływem tego żalu rzucają się w wir polityki opozycyjnej. W takim razie nie rozumiem, dlaczego nie przyłączają się do opozycji prawicy, która na równi z lewicą walczy z obecnym ustrojem społecznym. Należąc do prawicy, mogliby nawet winę niepowodzenia swego w zawodzie przypisywać rządowi. Najlepszym jednak dowodem, że przypuszczenie to nie jest uzasadnione, jest prawie równa liczba adwokatów bez klientów w łonie prawicy, jak i lewicy, względnie do cyfry różnych partyj w izbie. Czemże to wytłómaczyć — jeżeli nie faktem następującym?

Doktorzy wybierani są przeważnie w okręgach wiejskich.

I cóż z tego?—zapyta czytelnik.—Zaraz się przekonamy. Stwierdziliśmy już wyżej, iż we Francyi niewielu właścicieli wielkich posiadłości zamieszkuje w swoich dobrach, a jednocześnie mała tylko ich garstka zasiada w izbie.

Ludność wiejska, nie widując wcale właścicieli wielkich posiadłości, nie zna ich i słusznie względem nich obojętnieje, gdyż nie widzi żadnej racji wybierania na posłów ludzi, którzy będą z okolicy wywozić pieniądze po to, aby je w mieście wydawać.

Właściciele wielkich posiadłości są przeważnie konserwatystami, jak świadczą o tem cyfry. Na 72 deputowanych rolników 54 zalicza się do prawicy, a tylko 21 do lewicy. Warto zapamiętać ten stosunek. Otóż, skoro ci właściciele opuszczają wsie

i tracą swoje wpływy, obraca się to na korzyść ich przeciwników politycznych, ludzi lewicy, którzy wybierani zostają do izby zamiast nieobecnych właścicieli.

A co to są za jedni, a raczej, jacy ludzie mogą w okręgach wyborczych wiejskich zastąpić usuwających się właścicieli ziemskich? Nikt inny, jeno doktor, rejent lub obrońca.

Te trzy tylko kategorie osób rozporządzają wpływem naturalnym i rozległym, znają wiele osób, tajemnice rodzinne, mogą oddawać przysługi rozmaite, porady bezpłatne lub pożyczki. Zresztą, w czasie nieobecności właścicieli ziemskich oni to przedstawiają kwiat wiejskiej inteligencji, na nich więc pada wybór.

Prawdziwość tej istotnie jedynej przyczyny potwierdza podział przedstawicieli różnych zawodów między prawicą a lewicą w izbie. Widzimy tam przewagę rejentów i obrońców po tej samej stronie, co i doktorów. Na 17 rejentów 14 należy do lewicy, a 3-ch tylko do prawicy, wszyscy adwokaci (9) także zaliczają się do lewicy.

Prawdą jest więc, że przedstawicieli tych zawodów wprowadziło do izby usunięcie się właścicieli wielkich posiadłości ziemskich. W tych okręgach, gdzie właściciele umieli utrzymać się na stanowisku i zachować swoje wpływy, lekarze zajmują się leczeniem, obrońcy dołą wdów i sierot, co naturalnie, wszystkim wychodzi na dobre.

Inżynierów mamy w izbie tylko 7, bo zawód ten nie daje sposobności do pozyskania popularnego rozgłosu w szerszych kołach. Zato dziennikarze są stosunkowo niezmiernie licznie reprezentowani, bo wykaz podaje ich aż 59, więc dorywnywiają prawie liczbie rolników i przewyższają grupę przemysłowców i kupców. Nie sądzę jednak, aby można było utrzymywać, iż dziennikarze są zarówno nie-

zbędni dla kraju, jak rolnicy, a potrzebniejsi, niż przemysłowcy i kupcy. Nie zdaje mi się także, aby dziennikarze byli tak bezpośrednio interesowani w pomysłnym rozwoju interesów ekonomicznych, uspokojeniu umysłów i utrzymaniu publicznego porządku, jak ludzie pracujący w zawodach praktycznych.

Dzienniki powodzenie swoje zawdzięczają przede wszystkim wypadkom i wydarzeniom nadzwyczajnym. Podczas rozruchów politycznych nie tylko zwiększają się zastępy prenumeratorów, lecz i powstają nowe pisma. Dzienniki też zwracają skwapliwie uwagę ogólną na wiadomości, zagrażające spokojowi publicznemu, w tym celu często nawet drukują je grubemi czcionkami.

Z chwilą, gdy rozruchy uśmierzone zostają, nakład dzienników zmniejszać trzeba. Istnieje wszakże środek zaradczy, którym dzienniki bardzo chętnie się posługują. Oto zaznaczają starannie najdrobniejsze wypadki, mogące podniecić umysły, powiększają je, uzupełniają i oświetlają odpowiednio, aby wywołać zainteresowanie publiczności, potrzebne do utrzymania szerszego koła prenumeratorów. Trzeba chyba być zaślepionym, aby nie przyznać, że warunki, sprzyjające pomysłnemu rozwojowi rolnictwa, przemysłu i handlu, są dla dziennikarstwa za bójcze.

Wzamian niektórzy utrzymują, iż dziennikarze są dobrze przygotowani do dysput w kwestjach politycznych, ponieważ zajmują się nimi stale w swoim zawodzie. Jeżeli chodzi tylko o umiejętność rozprawiania o wszystkim, to zgoda; ale mówić o tych sprawach mogą jedynie tak samo, jak je przedstawiają w dziennikach. Zawód zaś dziennikarski zmusza do szybkiego myślenia, pośpiesznego wydawania sądu i prędkiego pisania.

Zaledwie jakiś pogląd zostaje wyrażony, już

chwytą go tłocznia drukarska, a dziennikarz nigdy niema czasu na gruntowny namysł. Wybitniejsi pracownicy wiedzą o tem dobrze i gorzko się na to użalają, lecz bywają i tacy, którzy nie zdając sobie z tego sprawy, są przekonani na seryo, iż spełniają „posłannictwo“.

Prócz tego dziennikarz, chcąc wyróżnić się, przykuć na chwilę uwagę publiczności, musi odzywać się—że tak powiemy—o jeden ton wyżej; jest to wymaganie zawodu, warunek istnienia, wskutek czego dziennikarz z konieczności przesadza wszystko tak samo, jak ogół z konieczności jada i sypia. Gdy np. pisze o kimś, że jest łotrem, to znaczy tylko, iż się różni z nim w zdaniu, co nie pociąga innych następstw. Pewnej przesady potrzebuje akustyka dziennikarska, należy krzyżeć, aby zostać usłyszonym, podobnie jak na jarmarku najlepszym sposobem zwabienia publiczności jest stanowczo hałas, sprawiany u drzwi. Czy jednak te nawyki i zalety dziennikarskie okażą się pożądane u przedstawicieli narodu? Wszak, aby rozstrzygać ważne sprawy państwowe i rządzić, trzeba przedewszystkiem rozwagi, zastanowienia, dojrzałości sądu, tolerancyi, zdrowego sensu i praktycznej znajomości rzeczy. Wszystkie te przymioty posiadają zapewne niektórzy dziennikarze, ale jak dotąd we Francyi, ogół ich chęłpić się jeszcze temi zaletami nie może.

Musimy atoli przyznać, że deputowani dziennikarze nie przyczyniają się wielce do utrzymania spokoju i powagi w obradach izby. Znaczną zaś ich liczbę w pałacu Burbonów przypisać należy potędze prasy, posiadającej wpływ olbrzymi na rezultat wyborów, któremi dowolnie rozporządzają.

Co się zaś tyczy partyj politycznych, to i dziennikarze rozdzielili się także nierównomiernie, z 59 tylko pięciu przyłączyło się do prawicy — reszta do lewicy. Zkąd pochodzi tak znaczna różnica? Ztąd,

że lewica opiera się przeważnie na robotnikach, a prawica na chłopach. Robotnicy zaś o wiele więcej czytają dzienników od chłopów, a przytem dziennikarze republikańscy są w bliższym zetknięciu z wyborcami po miastach, niż konserwatyści z wyborcami wiejskimi.—Gdyby chłop czytał więcej, niewątpliwie w izbie pomnożyłby się jeszcze bardziej zastęp dziennikarzy.

Napływ doktorów, rejentów i obrońców do parlamentu wynika z powodu nieobecności wielkich właścicieli ziemskich w swoich dobrach, co pozbawia chłopów ich dawniejszych a naturalnych opiekunów; natomiast napływ dziennikarzy wynika z winy przemysłowców, którzy nie dbają wcale o swoich robotników i pozostawiają ich bezbronnymi wobec wpływu prasy.

W obu wypadkach odpowiedzialność za rezultaty spada na niedbałych opiekunów.

IV.

Wśród deputowanych z rozmaitych zawodów liberalnych najliczniej reprezentowani są prawnicy: jest ich 139, nie rachując urzędników, ani też personelu administracyj publicznych i aczkolwiek urzędnicy pozostają w pewnej łączności z prawnikami, niemniej tworzą klasę odrębną.

Dla ścisłości jedynie przypominam, że wykaz izby podaje nam 6 profesorów prawa, oraz rejentów i obrońców, o których powyżej mówiłem, a przechodzę odrazu do pokaźnej liczby adwokatów, których aż 107 znajduje się w izbie; w dodatku są to tylko ludzie zapisani w poczet adwokatury i rzeczywiście nią się zajmujący, gdyż ogółem przeszło 300 deputowanych ukończyło fakultet prawny.

Nigdy bowiem nie istniało i dziś nie istnieje drugie społeczeństwo, któreby wykształcało tyłu prawników, co Francya w końcu wieku XIX.

Jest to wprost nawałnica, która stała się istotną władczynią reprezentacyi narodowej we Francyi, żaden bowiem inny zawód nie opanował do tego stopnia naszej maszyny parlamentarnej. A czyż mogło być inaczej? Wszak adwokatura jest zawodem, który najłatwiej można rzucić, a potem znów do niego powrócić. Przerwa w pracy nie wikła kapitału włożonego w interes, bo całą instalacją adwokata jest jego gabinet, będący najczęściej częścią prywatnego mieszkania. Mandat zaś poselski nie tylko jest doskonałym środkiem do pozyskania rozgłosu, ale pozwala wykazać talent krasomówczy. Trybuna w pałacu Burbonów więcej zaszczytu przynosi, niż kratki sądowe, przemówienia z niej są rozgłośniejsze i o wiele dalej bywają słyszane. Urząd zatem deputowanego jest dla adwokatów korzystny; może im dostarczyć klientów, jeśli ich nie mają (zdarzały się takie wypadki!) albo też pomnożyć ich liczbę.

Konieczność zatem zabierania głosu na zebraniach wyborczych i w izbie, która tyłu rolników, przemysłowców i kupców powstrzymać może od przyjęcia mandatu, dla adwokata będzie jeszcze jedną więcej przynętą. Przemawiać—to jego fach i ten mu daje nieocenioną przewagę nad współzawodnikami innych specjalności. Znowu jednak zapytać wypada, czy ułatwiając dostęp do izby, adwokatura równie dobrze uzdalnia do zawiadywania sprawami kraju? Przedewszystkiem zły stan interesów publicznych, tak wrogi dla rolnictwa, przemysłu i handlu, nie tylko nie szkodzi adwokaturze, lecz przysparza jej zysków. Przecież adwokaci żyją z procesów, które mnożą się, gdy interesy szwankują; zaburzenia

polityczne dają także powód do nowych procesów, a rozprzężenie rodziny wywołuje zatargi rodzinne. Zły przeto stan interesów własnych nie ostrzega adwokatów o niewłaściwym kierunku polityki, przeciwnie, kierunek taki jest dla nich korzystny. Zdaniem niektórych osób, adwokaci ciągle komentując prawa, nabywają zdolności i do układania praw nowych. Zapewne, że fach zapoznał ich z długim szeregiem naszych kodeksów, a także i z rozmaitymi systemami komentowania, oraz zastosowywania paragrafów prawnych i z tego tytułu przynoszą nawet reprezentacyi narodowej prawdziwy pożytek. Niestety jednak sądzą tylko sprawy z teoretycznego punktu widzenia rzeczy i zawsze są skłonni przyznać teorii przewagę nad względami praktycznymi, nawet w kwestyach życia codziennego, których dostatecznie zgłębić nie mogli. Adwokaci, mając nieustannie do czynienia z tekstem prawa, są tak niem przejęci, iż przypisują mu bezwarunkową potęgę skuteczną, jakiej w istocie mieć ono nie może. Chętnie wierzą, że społeczeństwem kierować można wyłącznie za pomocą prawideł kodeksowych, co dowodzi, iż przyznają oni doniosłość inicjatywy prywatnej i samorzutności indywidualnej.

To przekonanie, urabiane przez właściwości zawodu, czyniło ongi prawników najpodatniejszymi narzędziami absolutyzmu królewskiego w walce przeciwko prawom, i swobodom jednostek i miejscowości. Oni to także w wieku bieżącym, zasiadając na prawicy lub lewicy izby, byli zawsze niezmiordowanymi rzecznikami centralizacyi politycznej. Wprowadzali też wszędzie ciężką rękę państwa, protestując tylko wówczas, gdy ręka ta służyła celom ich przeciwników politycznych. Na prawników spada również w znacznej mierze odpowiedzialność za niesłychany rozwój biurokracyi francuskiej, która rujnuje nasze finanse i paraliżuje wszelkie inicjatywy.

Niemaló również przyczynili się prawnicy do zdyskredytowania systemu parlamentarnego. Nawykli do improwizacji, przedłużają zwykle błyskotliwe, lecz bezpożyteczne dyskusye, zamiast prowadzić rozprawy ściśle, użyteczne i praktyczne, do których potrzeba dokładnej znajomości przedmiotu. Wszakże słyszymy już domagania się opinii publicznej o izbę i gabinet, załatwiający w sposób gruntowniejszy sprawy państwowe.

Zaznaczyć bowiem trzeba, iż adwokaci najczęściej zajmują główne stanowiska w składzie naszych gabinetów, gdyż na nieszczęście, system naszego rządu wymaga od ministrów więcej krasomówczego talentu, niż gruntownej znajomości spraw państwowych; więcej błyskotliwych zalet raczej, niż przymiotów charakteru.

Aby głos zabrać, trzeba wejść na trybunę, nie przemawia się bowiem z miejsca swego w izbie francuskiej, jak w angielskiej izbie gmin. Trzeba zatem wypowiedzieć mowę z prawidłowym wstępem i zakończeniem, a ta formalistyka marnuje czas drogi na frazesy niepotrzebne i oświadczenia składane na popis. Co gorsza, usuwa ona od narad deputowanych, nie mających wprawy w przemawianiu publicznie, a wśród nich często widzieć się dają najzdolniejsi i z biegiem spraw najlepiej obeznani posłowie. Dostrzega się to w komisjach, gdzie przy pracy odzyskują wpływ i znaczenie, które mieć jednak powinni także i na posiedzeniach publicznych. Po wszechnie wiadomo, że deputowani, pracujący najwięcej, są właśnie ci, którzy się odzywają najrzadziej, bo scenerya naszej reprezentacji usuwa ich w cień, aby na widownię wystawić panów, umiających sypać pięknymi słówkami.

W rezultacie adwokaci mogliby stać się bardzo pożyteczni w izbie przez swoje wiadomości

fachowe, szkoda tylko, iż liczba deputowanych prawników nie stoi w odpowiednim stosunku do doniosłości społecznej tego zawodu, a czyni ich panami izby, nadając jej kierunek dla narodu zgubny.

Jeżeli adwokaci opanowali izbę, to niepodobna powiedzieć tego o duchowieństwie i armii.

Duchowieństwo wszelkich wyznań reprezentuje zaledwie dwóch księży, co przypisać trzeba specjalnym dla kapłanów trudnościom narażania się na przebieg walki wyborczej, a równocześnie rozpowszechnionej obawie przewagi tegoż duchowieństwa.

Oficerowie, na służbie czynnej będący, nie są wybieralni, nie więc dziwnego, iż tylko sześciu rzuciło ją dla prac parlamentarnych, a z tak szczupłej liczby niepodobna nic wywnioskować.

V.

Po zawodach liberalnych najliczniej reprezentowani są urzędnicy ¹⁾, bo łącznie z przedstawicielami rozmaitych administracyj państwowych cyfra ich wynosi 95, zatem *znacznie więcej* od rolników, a nawet przemyslowców i kupców razem wziętych. Większość tych deputowanych urzędników stanowią także prawnicy, lecz prawnicy, którzy przeszli uzupełniającą szkołę służby państwowej; mają zatem już zawodowo zaszczerpione uwielbienie dla interwencji państwa we wszystkich sferach działalności ludzkiej i zostali wdrożeni do wszelkich praktyk, które tej zasadzie zapewnić mogą zwycięstwo.

¹⁾ Naturalnie do urzędników zaliczam tych deputowanych, którzy nimi byli przed wyborem, gdyż wiadomo, iż te dwa urzędowania nie mogą być połączone (Przyp. autora).

Czy przez wzgląd na właściwości urzędnicy zawodu są dobrze wybranymi przedstawicielami kraju? Czy zasługują na zajmowanie tylu miejsc w izbie i czy potrafią bystro sądzić o sprawach dobra publicznego?

Na czemże jednak to dobro publiczne polega?

Przedewszystkiem na tem, aby wydatki na utrzymanie rządu wynosiły możliwie najmniej.

Tymczasem leży w interesie urzędników, by wydatki te były jak najwyższe, bo im bardziej się budżet podnosi, tem większą ilością posad rozporządza państwo, tem łatwiej jest o jaki taki urzędnik.

Co rok, podczas dyskusyi nad budżetem, wobec wzrastającego deficytu, odzywa się nawoływanie do oszczędności. W miarę jednak kolejnego dyskutowania paragrafów i rozdziałów budżetu zmieniać się zaczynają poglądy izby, 95 urzędników bowiem, dla których budżet był ongi ową kurą, złote jaja niosącą, nie mogą się długo opierać pokusie i z zapalem bronią dawnego źródła swego zarobku, do którego czują, że powrócić będą musieli, gdy przestaną być deputowanymi.

Opór deputowanych urzędników podtrzymują także koledzy z zawodów liberalnych, którzy na wypadek utracenia dyet poselskich radziby zapewnić sobie kosztem budżetu przyzwoite stanowisko, jak ów szczer z bajki „schronienie w serze holenderskim“.

W izbie zaś, jak wiemy, zawody dostarczające funduszków na wydatki państwowe, są słabiej reprezentowane od zawodów, które kosztem państwa żyją, więc w końcu budżet zostaje zagłosowany, a oszczędności wciąż do lepszych czasów odkładane.

Ponieważ jednak uchwalenie wydatku nie dostarcza na niego jeszcze pieniędzy, wbrew obietni-

com dawanym wyborcom trzeba zaciągać nowe pożyczki i ustanawiać podatki nowe, co z roku na rok zwiększa deficyt państwowy.

Drugim pożądanym warunkiem dla ogółu jest, aby służba państwowa nie była zbyt skomplikowaną; gdyż to ułatwi orientowanie się interesantom, oraz szybkie a dokładne obsłużenie publiczności.

Tymczasem dla urzędników skomplikowane w tym rodzaju połączenie urzędów, oraz ich wzajemny stosunek, są tak korzystne, że utrzymują je uparcie, wbrew wszelkim usiłowaniom reform i protestom opinii publicznej. Takie bowiem skomplikowanie czyni ich niezbędnymi, zwiększa zakres ich władzy i udaremnia wszelką kontrolę. Tym sposobem stają się nietylko wszechmocni, ale jednocześnie i nieodpowiedzialni.

Władza państwowa dla pomyślnego rozwoju społeczeństwa nie powinna wtrącać się do życia prywatnego, ani do spraw lokalnych i pozostawić swobodę inicjatywie indywidualnej, a nie być murem spiszowym, o który za każdym ruchem rozbijać się trzeba, gdy się chce samemu najdrobniejszy interes lub sprawę czysto osobistą załatwić. Lecz i w tem dobro powszechne stoi w sprzeczności z interesem urzędników. Rozszerzenie zakresu działalności pomnaża zajęcia; wywołuje to powiększenie liczby potrzebnych urzędników, którzy, rzecz prosta, dążyć muszą do zawładnięcia nietylko departamentem, ale i okręgiem, gminą, a wreszcie nawet i rodziną.

Taki stan rzeczy tem groźniej występuje, że jest powszechny i oddziałuje we wszystkich partyach, gdyż z 95 urzędników w izbie, 51 należy do lewicy, a 44 do prawicy. Miłość dla budżetu okazuje się zatem uczuciem, które najmniej nas różni.

Aby usprawiedliwić nadmierną liczbę urzędników w izbie, trudno jest utrzymywać, że dzierżenie

w ręku istotnego kierownictwa w kraju wyrobilo w nich gruntowną znajomość spraw publicznych i umiejętność zawiadywania nimi i tym sposobem uczynilo z nich znakomitych przedstawicieli narodu. W istocie bowiem urzędowanie jak najgorzej przygotowuje do sprawowania rządów, gdyż zabija w człowieku inicjatywę, niezależność, poczucie odpowiedzialności, a to są właśnie przymioty dla męża stanu najpotrzebniejsze.

Deputowani urzędnicy, należąc do partji, stojącej u steru, są zazwyczaj biernie temu rządowi ulegli, gdyż niezawisłość ich bywa skrepowana chęcią zachowania dotychczasowego stanowiska lub korzystnego awansu.

W opozycji ci sami deputowani zamieniają się w najzaciętszych przeciwników, systematycznie dążących do zwalenia za jaką bądź cenę istniejącego porządku, gdyż są w tem bezpośrednio zainteresowani. Z ich bowiem stanowiska jest to kwestya życia lub śmierci. Dotychczasowe zajęcia nie uzdolniły ich do wyrobienia sobie pozycji samodzielnej, to też nie widzą dla siebie innego sposobu zabezpieczenia przyszłości, jak objęcie ponowne posady w jakim urzędzie publicznym. Jakże w tych warunkach nie mają dążyć do jedyne go celu: zniszczenia Kartaginy, t. j. do usunięcia od władzy swoich przeciwników politycznych?

Z tego chyba dość jasno wypływa, jak bardzo jest pożądanem, aby dążenia deputowanych urzędników były umiarkowane i powstrzymywane potężną większością, złożoną z ludzi, przedstawiających istotnie interesy kraju wagi pierwszorzędnej.

VI.

Większość izby naszej powinna się składać z przedstawicieli zawodów praktycznych i rolnictwa, przemysłu i handlu, które obecnie reprezentowane są słabo pod względem ilości, oraz jakości.

Jest to niewątpliwie wielka wada systemu naszego rządu.

Izby nasze tracą równowagę i zmieniają się ustawicznie, bo znaczną w nich większość tworzą przedstawiciele zawodów liberalnych i urzędnicy państwowi, a mianowicie jest ich 365 na 135 przedstawicieli zawodów praktycznych.

Możemy też sobie plastycznie przedstawić naszą izbę, jako jedną z tych skał ruchomych, na wąskiej podstawie opartych, które za każdym wstrząśnieniem poruszają się w różne strony. Odwieczne te glazy są jednak, mimo tych poruszeń chwilowych, mocne i przetrwały już wiele pokoleń ludzkich. Niestety, o izbie naszej powiedzieć tego nie można, chwieje się za lada powiewem wiatru i pada na tę stronę, na jaką się chyli, druzgocząc w swoim upadku trzy ważne interesy narodowe, jakie lekceważy i zaniedbuje, pomimo ich olbrzymiej doniosłości społecznej. Jakże wielka zachodzi różnica w obrazie angielskiej izby gmin, ta bowiem przypomina nie skałę ruchomą, lecz raczej piramidę Faraonów o szerokiej i niewzruszonej podstawie. Tam prawa równowagi społecznej zostały uszanowane, każdy żywiol jest na swoim miejscu i w odpowiednim stosunku do wy magań dobra powszechnego.

Utrzymane we właściwym dla siebie zakresie, zawody liberalne przestały być niebezpieczne dla porządku społecznego, a stały się tem, czem są istotnie: ozdobą, cennym czynnikiem intelektualnego i moralnego rozwoju społeczeństwa, a wreszcie prze-

ciwwagą, potrzebną dla zapobieżenia następstwom zbyt wyłącznego zajmowania się zawodami praktycznymi.

Złe leży w tem, że my, Francuzi, nie mamy już *przedstawicieli naturalnych*.

A któż to jest tym naturalnym przedstawicielem? Taine objaśnia nas o tem następującemi słowy: „Admirujemy—pisze on — trwałość rządów angielskich. Pochodzi ona ztąd, że rząd w tem państwie jest misternym węzłem, utworzonym z niezliczonej masy żywych włókienek, rozsnutych i zeszczepionych silnie na powierzchni całego kraju. Przypuśćmy, że następuje w Anglii rozruch, jak np. lorda Gordona, lecz silniejszy i lepiej kierowany, obok tego zaś jeszcze jakiś wybuch niemożliwy, który zniszczyłby nie tylko rodzinę królewską, ale i obie izby jednocześnie. Cóżby się wówczas stało? Jedyne szczyt rządu uległby obaleniu, reszta pozostałaby nietkniętą. W każdej gminie, w każdym hrabstwie są rodziny, około których gromadzą się inne. Ludzie poważni, gentlemen i szlachta, wzięliby natychmiast inicjatywę, do której powołuje ich stanowisko, majątek, zasługi, wychowanie i wpływy, a za nimi podążyłby ogół, który ma do nich zaufanie i szacunek; mogliby więc rychło przywrócić spokój, oraz porządek i jako generałowie i pułkownicy zgromadzić rozpiezchłe wojsko, by skupić nanowo szyki. We Francyi przeciwnie, mieszczanin i robotnik, szlachcie i chłop, pozostają w niezgodzie z sobą i niedowierzają sobie wzajemnie. Bluza robotnicza i surdut ocierają się o siebie z zawiścią i obawą, a jedynymi kierownikami ich są obcy, czasowi urzędnicy, gdyż w każdej chwili odwołani być mogą. Ludność też zachowuje względem nich pozory posłuszeństwa, ale nie żywi ku nim ufności, ani też niema dla nich uznania. Rząd angielski jest trwały

dlatego, że Anglicy mają naturalnych swoich przedstawicieli. ¹⁾

Szczęśliwe to są narody, które, opierając się na swoich naturalnych przedstawicielach, posiadają ścisłą miarę, jaką przyznać należy wszystkim żywiołom społecznym w reprezentacyi narodowej.

¹⁾ „Notatki o Anglii“, str. 217 i 218. „W Anglii miasta nie są, jak u nas, ulubionem miejscem pobytu. Oprócz wielkich środowisk fabrycznych, takie miasta prowincjonalne jak naprz. York, zamieszkiwane bywają głównie przez kupców. *Wybór i kwiat narodu przebywa na wsi.* Sam Londyn nawet jest raczej olbrzymim punktem zbornym dla interesów.

ROZDZIAŁ II.

Oporność Anglo-Saksonów względem socjalizmu.

Niepodobna twierdzić, aby wszystko było obecnie „najlepiej w najlepszym ze światów“, w co zdaje się wierzyć niektórzy ekonomiści. Błędem jest tylko szukać ratunku w większym rozwinięciu działania państwa, a przytłumieniu inicjatywy prywatnej, gdyż właśnie należy postępować wręcz przeciwnie.

Doświadczenia bowiem nabyte pouczają, iż trzeba dostosowywać się do ustroju tych ludów, przewyższających inne dawniej i teraz nie siłą zbrojną, lecz o wiele groźniejszą potęgą swego ustroju społecznego. Jednocześnie ustrój ten przynosi najpomysłniejsze rozwiązanie dla kwestyi, wywołującej rozterkę w świecie pracy, a mianowicie kwestyi robotniczej, do rozstrzygnięcia której tak niesłusznie socjalizm prawo sobie rości. Istotnie w krajach indywidualistycznych przedsiębiorcy i robotnicy znajdują się w najkorzystniejszych warunkach dla rozstrzygnięcia zawikłań, jakie wywołał rozwój wielkiego przemysłu.

Nie potrzebujemy chyba udowadniać, iż indywidualizm rozwija w przedsiębiorcach daleko większą rzutność, energię i nawyk do polegania na sobie, niż

ustroj zbiorowy. Dość jest porównać Wschód z Zachodem. Przymioty powyższe są niezbędne, aby kierować produkcją w nowych a skomplikowanych wielce warunkach, wytworzonych dla przemysłu odkryciem węgla kamiennego. Widocznem jest nawet, że wybitny typ zdolnego, a rzutnego przedsiębiorcy jest więcej rozpowszechniony wśród rasy anglo-saksońskiej, niż w krajach o dążnościach lub ustroju zbiorowym i temu właśnie owa rasa zawdzięcza tak znaczną przewagę nad innymi w zakresie przemysłu.

„Jakież to jednak wpływ mieć może na polepszenie losu robotników — powiedzą zapewne niektórzy — bo wszak, o robotników tu chodzi przede wszystkim?” Niebawem postaram się to wyjaśnić.

Pierwszym nieodzownym warunkiem zapewnienia robotnikom ciągłości pracy, a więc zarobku i to korzystnego, jest umiejętne kierownictwo przedsiębiorstwem. Ustrój zatem, wyrabiający w przedsiębiorcach większe zdolności, sprzyja bezwarunkowo polepszeniu doli robotników. Przemysłowcy, których interesy rozwijają się pomyślnie, mogą nie tylko płacić wyższe wynagrodzenie, lecz także i ponosić wydatki na instytucje pomocy i opieki dla swoich pracowników, wypłacać im emeryturę i t. p., czego nie są w stanie czynić przedsiębiorcy mniej zdolni i rzutni, którym z trudnością przychodzi zrównoważyć przychód z rozchodem.

Zarzucićby znowu można, iż zdolni przedsiębiorcy, choć mogą, nie zawsze chcą tak postępować względem swego personelu. Często też osiągnięte powodzenie spożytkowują na własną jedynie korzyść, nie troszcząc się bynajmniej o polepszenie położenia robotników.

Uwaga ta jest całkiem słuszną, lecz tu należy wyjaśnić znaczną, a zbyt mało uznaną wyższość ustroju indywidualistycznego nad ustrojem zbioro-

wym, nietylko co do przedsiębiorców, ale również i co do robotników:

Jak wpływa ustrój zbiorowy na robotnika? Czy ni go człowiekiem niezdolnym do wszelkiej inicjatywy, oraz do działania indywidualnie, wytrwale a energicznie. Właściwie staje się on niemal narzędziem. Takim był robotnik w starożytności, takim jest jeszcze na Wschodzie, a w pewnej mierze i w Niemczech. To też ci ostatni bywają biernymi narzędziami w rękach agitatorów, ze zdumiewającą łatwością zaciągających ich w szeregi różnych partyj: rewolucyjnej, konserwatywnej, ewangelickiej, katolickiej i t. d.

Przezorna potęga przywódców socjalizmu niemieckiego ztąd tylko pochodzi, że rozporządzają materiałem podatnym i masą bierną, do kierowania łatwą. Nie małe więc było ich zdziwienie, a i zawstydzenie nawet, gdy przekonali się w Anglii i w Ameryce, że tamtejsi robotnicy nie pozwolą bezmyślnie sobą powodować. Było to zdziwienie ludzi, należących do ustroju zbiorowego, wywołane spotkaniem się z niezależnym indywidualizmem. I dlatego jeden z owych zawiedzionych agitatorów nazwał pogardliwie robotników anglo-saksońskich „masą zaślepioną“.

Czy istotnie są oni tak bardzo zaślepionymi?

Oto, co tam pisze historyk socjalizmu ¹⁾: „*Nie ma kraju w Europie*“ w którym robotnicy *więcej* uczyniliby dla *polepszenia swego materialnego położenia*, niż w Anglii. Pomnożyli tam znakomicie liczbę kas pomocy i ubezpieczeń, różnych spółek wytwórczych, a przez system *Trade's-Unions* (Związki pracy) stali się sami kapitalistami; dokonali zaś tego po za

¹⁾ T. de Wyzewa *Ruch socjalistyczny w Europie*, str. 211.

obrębem socjalizmu, nie dążąc zupełnie do zmiany obecnego ustroju społecznego“.

Obeszli się też zupełnie bez pomocy agitatorów i polityków, czego ci naturalnie nie mogą im darować.

Aby słusznie ocenić znaczenie tego, co robotnicy anglo-saksońscy uczynili *sami* w Anglii i w Stanach Zjednoczonych i to wyłącznie własnymi siłami i z własnej inicjatywy, odpychając nawet poparcie państwa, trzeba uważnie przeczytać *historję Trade's Unions*. Jest ona niezmiernie pouczającą i stanowi dowód stwierdzający wymownie, jak ustrój indywidualistyczny wyrabia niezmierną wyższość w robotniku i uzdalnia go do przeprowadzenia własnymi siłami stopniowej poprawy swego położenia.

Anglo-saksońskie związki robotnicze noszą ścisłą cechę indywidualizmu tej rasy, nie są więc, jak w Niemczech, stowarzyszeniami, dążącemi do międzynarodowych połączeń, a choćby tylko narodowych i nie pragną zjednoczyć wszystkich robotników w celu gruntownego przekształcenia ustroju społecznego. Przeciwnie, te związki anglo-saksońskie — to bardzo wyłączone spółki, łączące jedną, specjalną kategorię robotników w *ograniczonym* i wyraźnie określonym celu. Nie tworzą przeto one olbrzymiej organizacyi, ześrodkowanej w ręku kilku przywódców, mogących posługiwać się nią ku zwiększeniu swojej chwały, ale wielką liczbę niezależnych towarzystw zaledwie z sobą luźnie powiązanych.

Historyk tych związków ¹⁾ twierdzi, że *Trade's Unions* obok korzyści materyalnych, oddawanych

¹⁾ Zobacz: E. Castelot „Związki robotnicze w Anglii“ w Dzienniku Ekonomistów z 1891 r. Artykuł ten streszcza tylko pracę p. t.: „Walka kapitału z pracą“ p. Howel sekretarza kongresu *Trade's Unions*.

robotnikom, stały się dla nich szkołą umoralnienia i były zawsze przejęte duchem niezależności fachowej, albo raczej indywidualizmu, który pokrzyżował plany ogólnej federacji, ściśle jednoczącej wszystkie siły i środki stowarzyszonych. Wszelkie też próby stałego zcentralizowania napotkały zawsze niepowodzenia.

Ogólna liczba stowarzyszonych robotników w Anglii doszła już do olbrzymiej cyfry półtora miliona, a dochody tych związków wynoszą 200,000 funtów szterlingów, t. j. około 20 milionów rubli, przy takim samym funduszu zapasowym.

Oto jak znaczną jest potęga, wytworzona przez prywatną inicjatywę robotników angielskich! Niechże nam Niemcy tego dokażą.

Również i w Stanach Zjednoczonych związki robotnicze stają się coraz potężniejsze, jak o tem już wspominałem, opisując opór amerykańskich robotników względem socjalizmu.

Najbardziej wszakże zadziwia, iż tak groźna potęga nie jest wcale skierowana przeciw tak zwanemu przez socjalistów „społeczeństwu kapitalistycznemu“, lecz ma wyłącznie na celu poprawę stosunków robotniczych bądź przez niedopuszczanie obniżki płacy, bądź też przez obracanie znacznej części posiadanych środków na wytworzenie funduszu pomocy w razie wypadkowego bezrobocia, bez udawania się do miłosierdzia publicznego.

To też w jednej z ankiet parlamentarnych większość przedsiębiorców, powtarzam *przedsiębiorców*, przyznawała, że Unioniści są zazwyczaj bardziej uzdolnieni i sumienniejsi od reszty robotników tego samego fachu. „Wogóle — pisze zacytowany wyżej autor — Trade's-Unioniści zadowolają się dążeniem na drodze legalnej do tego, co Anglicy nazywają *higher standar of life*, a profesor uniwersytetu w Kambridge, Marschall, określa jako: urzeczy-

wistnienie typu egzystencji ludzkiej, wywołującej ciągle wzrost energii, oraz poszanowanie godności własnej. Aby zaś typ takiego życia urzeczywistnić, nie wymagają nic od państwa: żadnych subwencji, żadnych przywilejów, lecz jedynie zniesienie krępujących ograniczeń. *Trade's Unions*, składające się z wyborczych sił w każdym zawodzie, od stulecia już z zimną krwią i zaciętością brytańską wytrwały wiernie w tej dumnej strategii, która ma tyle w sobie godności, że w końcu najbardziej uprzedzone umysły oddać jej musiały zasłużone uznanie.

Ustrój indywidualistyczny wydaje zatem ludzi najzdolniejszych do rozstrzygnięcia z czasem kwestyi socyalnej własnymi siłami, zarówno wśród pracodawców, jak i wśród robotników.

Przypuśćmy teraz, co jest zresztą faktem niezaprzeczalnym, że pewna liczba pracodawców, źle rozumiejąc interes własny, zechce niegodnie wyzyskiwać swoich robotników, uważając ich jako narzędzia, które wolno brać i odrzucać wedle potrzeby i będzie żądać od nich nadmiernej pracy za wynagrodzenie śmiesznie niskie, nie dbając wcale o zabezpieczenie ich starości lub w razie choroby; przypuśćmy to wszystko, powtarzam, a potem zastanówmy się, czy robotnicy indywidualiści nie będą stokroć lepiej uzbrojeni do wywalczenia sobie sprawiedliwości od robotników społeczeństw o ustroju zbiorowym.

Pierwsi okażą się bezwarunkowo silniejszymi, gdyż siła spoczywa w nich samych i bezpośrednio a czynnie postawi opór przeciw przeszkodzie, jaką pokonać im przyjdzie.

Wyzyskowi określönemu i bezpośredniemu przeciwstawiają dochodzenie swej krzywdy, dochodzenie określone, czynne i bezpośrednie, a nie, jak przewódcy socyalizmu, głołosłowne protesty, rewolucyjne mowy, artykuły dziennikarskie i urojone projekty

reform społecznych wtedy, gdy robotnicy umierają z głodu.

Można nawet twierdzić, że Anglia i Stany Zjednoczone są bliższe, niż inne kraje, załatwienia kwestyi socyalnej, przynajmniej dla kategorii robotników indywidualistycznych, której rdzeń główny stanowią pracownicy należący do *Trade's Unions*.

Zagadnienie socyalne nie występuje w rzeczywistości w krajach anglo-saksońskich jeszcze, a przynajmniej nie występuje w sposób stanowczy; wyjątek może stanowi kwestya robotników najniższej kategorii lub zajęć, nie wymagających fachowego przygotowania, jak np. tragarzy w warsztatach okrętowych w Londynie. Trzeba wszakże pamiętać, iż ci robotnicy nie należą po indywidualistów, których charakteryzuje zdolność do *self help'u*, bądź z przyczyny wad charakteru, bądź też z ich pochodzenia.

Wśród tragarzy pracuje wielu Irlandczyków, Szkotów, oraz emigrantów włoskich i niemieckich, a te właśnie żywioły przeważnie podsycają pauperizm w Anglii i w Stanach Zjednoczonych; wśród nich też głównie socjaliści znajdują zwolenników.

Jest to jeden więcej dowód, potwierdzający wynik niniejszego studyum, potwierdzający dowodnie bezwarunkową niższość ustroju zbiorowego.

Przyszłość należy też bezwątpienia do narodów, które potrafiły się z tego ustroju wyzwolić, i rozum nakazuje opierać się na tej prawdzie, zamiast traćć drogi na urojenia, będące wistocie zużyta starzyzną, już bezskuteczną za czasów Faraonów, dziś zaś rozpowszechnianą po świecie przez naród najbardziej przejęty autorytetem państwa.

ROZDZIAŁ III.

Różnice, zachodzące w pojęciu ojczyzny przez Francuza i Anglo-Saksona.

Dla umysłów, pragnących faktami sprawdzać idee, nie lubujących się w pięknych frazesach, niezmiernie jest ważną rzeczą zdać sobie obecnie sprawę, jak można najdokładniej, z treści, ukrywanej pod wielkimi słowami: Ojczyzna i patriotyzm. Otóż określenia powyższe używane są zbyt często i niedość rozważnie, a nawet na ślepo, przez jednych z niestygnącym zapalem, a przez innych z zaciętym gniewem i pogardą.

Podczas, gdy pierwsi usiłują podniecić patriotyzm, drudzy jawnie wyrzekają się odnowionej formy *Civis sum romanus*, nazywają ojczyznę macochą i utrzymują, że idea narodowości już się przeżyła, bo nie odpowiada obecnemu ustrojowi społeczeństwa. Twierdzą też, że wszyscy ludzie są braćmi i ku wielkiemu zgorszeniu swoich współobywateli oświadczają, iż nie mają wcale ojczyzny.

Występują zatem dwie różne doktryny, których pogodzić nie można, a obie mają swoje wytlóma-

czenie i przyczyny. Należy tylko znaleźć odpowiednią formułę do określenia patryotyzmu, zarysować przebieg jego ewolucyi w ludzkości, pochwycić przyczynę, oraz następstwa i na tych zasadach wykazać, czy świat dąży obecnie do wzmocnienia, czy osłabienia uczucia patryotyzmu, a może tylko do pewnej zmiany w sposobie pojmowania ojczyzny. Koniecznym jest wyświecić, kto ma rację: szowiniści, czy kosmopolici—a jeśli obie kategorie mają po części słusność, to w czym i w jakim stopniu się mylą.

Rozbiór tych nader drażliwych kwestyj wymaga od autora i czytelników wiele spokoju, oraz swobody umysłu. Trzeba się na chwilę wyzbyć wszelkiej stronniczości, a nawet zapomnieć o swem pochodzeniu. wyobrażając sobie np., że znajdujemy się na innej planecie, z której przyglądamy się bezstronnie temu, co się dzieje na kuli ziemskiej.

Najprzód należy zaznaczyć, że patryotyzm rozwija się bardzo nierównomiernie w różnych społeczeństwach, gdyż bywa różnorodnym wynikiem przyczyn zupełnie odmiennych.

Możliwym jest wszakże odróżnić wyraźnie cztery jego odmiany: Patryotyzm oparty na wyznaniu religijnem—współzawodnictwie handlowem—ambicyi politycznej—a wreszcie na zamiłowaniu niezależności w życiu prywatnem.

I.

Patryotyzm, oparty na wyznaniu religijnem, daje się spostrzegać u Arabów, Tuaregów, Turków, oraz podobnych im ludności.

Wyjaśniłem już w innej pracy ¹⁾ powody, które

¹⁾ „Społeczeństwa pustyń, typy na oazach i na granicach pół uprawnych“. *Science sociale*, t. XV, str. 315.

oddają ludność pustyń pod władzę bractw religijnych. Od najdalszej przeszłości do dziś dnia w pustyniach panuje niepodzielnie i bezspornie grupa ludzi, która, nie należąc do żadnego wyłącznie szczepu lub pokolenia, wśród wszystkich znajduje zapalnych zwolenników, co im zapewnia wszechpotężną na pustyniach władzę. Wszyscy też zdobywcy, do pustyń wkraczający, spotykali zawsze w tej władzy przeszkodę niepokonalną. Anglicy na granicy sudańskiej Egiptu, a Francuzi na granicy Sahary.

Królowie pustyni są rodzajem bractwa religijnego, mianują się *khonans* (bracia), a naczelnicy ich noszą tytuły kalifów, cheików i t. p., w okresach natchnień, lub rozbudzonego fanatyzmu religijnego „mahdi“, czyli posłannik boży. Biada tym, którzy usiłują wówczas właśnie wdrzeć się na pustynię?

Bractwa zwane są *zaonias*, posiadają we wszystkich oazach swoje siedliska zależne od jednego — centralnego. W oazie Ruemar w Saharze np., choć liczy ona zaledwie 700 do 800 mieszkańców, jest aż 12 meczetów i 4 *zaonias*.

Bracia *khuanie* mają swoje znaki poznania, hasła, hierarchię oficjalną, od wielkiego mistrza począwszy do niższych stopni (jak wysłanników, chorążych, stróżów itp.). Zbierają się na zgromadzenie ogólne, aby otrzymać tajne instrukcje od wielkiego mistrza, przyjmować nowych członków do bractwa, organizować podburzania ludności do walki z wrogiem zewnętrznym lub wewnętrznym. Są to więc zebrania patryotów, szowinistów pustyni.

Tym rodzajem patryotyzmu przejęte były społeczeństwa, zamieszkujące ongi dwie wielkie oazy Asyrii i Egiptu, przynajmniej w pierwszym okresie historycznym, kiedy jeszcze świeżo utworzone z żywiołów, pochodzących z pustyń, społeczeństwa te

pozostawały pod mniej więcej bezpośrednią władzą bractw i kapłanów bożka Amon'a.¹⁾

Nie inny też patryotyzm ożywiał Mahometa i jego sekciarzy, oraz wszystkie społeczeństwa, powstałe pod jego wpływem bądź na pustyniach Arabii i Sahary, bądź na ich krańcach, zaczawszy od Azji Mniejszej aż do Hiszpanii. Przynależą tu i Turcy naturalnie, którzy od Islamu zmuszeni byli zapożyczyć formy rządu, jaka z ich pasterskiego ustroju wytworzyć się nie mogła.

Sama nazwa tych narodów wystarcza, aby wywołać w myśli naszej obraz charakterystyki tej odmiany patryotyzmu. Absolutny i nieubłagany względem przeciwników, gdyż twierdzi, że opiera się na doktrynie, która nie zna kompromisów, jest on tem groźniejszy, że nie zadawalnia się ujarzmieniem ciała, lecz pragnie opanować umysł i duszę. Nie wystarcza mu żądać od pokonanych, iżby się poddali, lecz narzuca im przymusowe nawrócenie. „Wierz lub umieraj.“ Ten to patryotyzm zakrwawiał historię przez długie wieki i stał przed sądem ludzkim, obciążony wielu zbrodniami.

Religia, narzucana gwałtem przez strach, a nie skruczę sumienia, staje się tylko zaciekłym fanatyzmem. Ten przeto rodzaj patryotyzmu powinien być surowo potępionym, szczególnie przez osoby wierzące, ponieważ ubliża najpodnioslejszemu i najszlachetniejszemu uczuciu religijnemu i sprawiedliwości Boskiej. A tacy patryoci, to najgorszy gatunek ludzi, frymarzących świętościami z szablą lub kijem w ręku na korzyść swej ambicyi lub nienawiści.

¹⁾ Zob. w *Science sociale* art. Prévillé'a „Starożytny Egipt“, p. Poinsard'a „Chaldejczycy“.

II.

Druga odmiana patryotyzmu, oparta na współzawodnictwie handlowem, była właściwą ludom starożytnym, zamieszkującym wybrzeża morza Śródziemnego w czasach, gdy morze to stanowiło rodzaj zamkniętego zbiornika.

Mnóstwo miast niezależnych, a trudniących się handlem, istniało w starożytności na wybrzeżach Fenicyi, Azyi Mniejszej, Grecyi, Hiszpanii i Afryki północnej. Naturalnie współzawodniczyły one z sobą zajadle, gdyż zwyciężenie rywalki stanowiło kwestyę życia lub śmierci. Cała historia starożytna jest tylko opowieścią tych kupieckich zatargów.

Miasta też owe musiały zbroić się na wypadek wojny odpornej, a nawet i zaczepnej, bo tworzyły one małe, zamknięte w sobie państewka, które na swoje siły tylko liczyć mogły. To też starały się one usilnie o zahartowanie młodzieży i wyrobienie w niej biegłości we wszystkich ćwiczeniach fizycznych: siła, zręczność, gibkość, umiejętność strzelania z łuku, były przymiotami najbardziej cenionemi w młodym człowieku. Igrzyska publiczne, w państewkach tych tak rozwinięte, były objawem tego podejrzliwego a przezornego patryotyzmu, który był przede wszystkim lokalnym, przywiązanym do miasta. *Civitas, Urbs*, te wyrażenia powracają ciągle w utworach pisarzy starożytnych. Wszystkie piękne czyny, jakie nam opisują, a które my z taką czcią i naiwnością zarazem wtłaczamy w mózgownice naszych gimnazystów, są objawami takiego właśnie handlowego patryotyzmu.

Miasta bywały równie dumne ze swoich filozofów, jak i ze swoich atletów, bo jedni i drudzy byli

potrzebnym i naturalnym wytworem społecznego ustroju. ¹⁾

„Krotona — pisał Strabon — zdaje się głównie starać o wyćwiczenie doskonałych żołnierzy i atletów. Zdarzyło się np., że w jednej i tej samej Olimpiadzie na placu igrzysk zwyciężyło siedmiu Krotończyków, tak, iż istotnie można było powiedzieć, że ostatni z Krotończyków był jeszcze pierwszym wśród Greków“.

Zwycięzcy tych igrzysk doznawali wielkiego pozaszanowania i uwielbienia, oddawano im najwyższe honory i najslawniejsi rzeźbiarze ubiegali się o zaszczyt rzeźbienia ich posągów. W Olimpie stanął pomnik Krotończyka Astylus'a, zwycięzcy trzech kolejnych Olimpiad. Filip, syn Buttacosa, zwycięzca na igrzyskach Olimpijskich i najpiękniejszy ze współczesnych Greków, ożenił się z córką Felys'a, tyrana Sybaris'u, a po śmierci zaliczony został do bohaterów. Phayllosowi za trzy nagrody, zdobyte na igrzyskach pyryjskich, wystawiono posąg w Delfach. Napis na pomniku podnosi z uznaniem Phayllosa, że skakał na 55 stóp, a ciskał tarczą o 95 kroków. Phayllos był także bohaterem bitwy pod Salaminą. Najslawniejszym atletą był wszakże znakomity Milo z Krotony. Odniósł sześć zwycięstw na igrzyskach olimpijskich, siedm na pyryjskich, a dziewiętnaście na różnych innych igrzyskach; jeszcze za życia jego rozgłos tej niezwykłej siły doszedł aż na wschód daleki, na dwór królów perskich. W Olimpie postawiono mu pomnik, wykonany przez rodaka, rzeźbiarza Dameos'a z Krotony. Milo odznaczył się

¹⁾ Zob. w *Science sociale* p. Moustiert „Przez Włochy południowe“ oraz „Przodkowie Sokratesa“ przez p. Azamboja (Przyp. autora).

także bardzo zaszczytnie w walkach, jakie Krotona wiodła z Sybaris'em.

Celem ambicyi różnych miast było wydarcie pierwszeństwa igrzyskom olimpijskim. Sybaris i Krotona zaprowadziły uroczyste igrzyska z sutemi pieniężnymi nagrodami, spodziewając się tą drogą ściągnąć Greków z Włoch, Sycylii, a nawet i z Azji Mniejszej. Igrzyska te stanowiły zaczątek późniejszych zapasów gladiatorских, które miały kiedyś szańbic czasy upadku rzymskiego.

W ten sposób objawiał się patryotyzm, rozwinięty potrzebą odporu we współzawodnictwie handlowem wśród miast wybrzeży morza Śródziemnego. Był to wszakże patryotyzm pieniężny, chciwy a ciasny. Orężne współubieganie się i nieustanne walki, upiększone przez historję zbyt świetnymi barwami, wywołane były pragnieniem zrujnowania siłą brutalną rywalizującego miasta, którego niepodobna było przewyższyć w umiejętności prowadzenia handlu.

Istotnej miłości ojczyzny i gotowości poświęcenia się dla niej w potrzebie niewiele było w tych kupieckich sercach, czego najlepszym dowodem jest to, że skoro te miasta wzbogaciły się dostatecznie, zabrakło im pośród siebie dzielnych obrońców i musiały najmować sobie wojska płatne. „Od roku 560, w którym nastąpiła jedna z ich porażek, Krotonczycy—pisze Justyn—przestali ćwiczyć się w robieniu bronią i swoją dzielność hartować, wskutek tego popadli w taki sam zbytek i zniewieściałość, jak i Sybaryci. Po Krotonie Farent zatracił cnoty rycerskie w rozpuszcie i rozluźnieniu obyczajów“.

Zachwalony ten patryotyzm możnaby przedstawić obrazowo w dwuaktowym dramacie. W akcie pierwszym miasta usiłują zniszczyć się wzajemnie w zapasach handlowego współzawodnictwa; w akcie następnym miasta, które osiągnęły zwycięstwo bru-

talną siłą, zostają z kolei ujarzmione i zniesione przez zwycięzców, należących do innego typu ustroju społecznego.

III.

Trzecim i ostatnim rodzajem jest: *patryotyzm oparty na niezależności w życiu prywatnem*. Tem określeniem obejmuję społeczeństwa, u których poczucie patryotyczne, nawet pojmowanie ojczyzny — objawia się w sposób zupełnie od poprzednich odmienny. Ojczyznę stanowi bowiem w tych społeczeństwach właściwie ognisko domowe, którego nie-naruszalności i swobody ludzie ci bronią przeciw wszystkim i wszystkiemu, tak, że ojczyzna polityczna ma jedynie na celu ułatwić zachowanie niezależności prywatnej. Nie uważają oni również, aby człowiek stworzony był dla ojczyzny, lecz raczej ojczyzna dla człowieka. Mniej też daleko ubiegają się o zaszczyt zaliczania się do obywateli wielkiego państwa, a więcej o rzeczywistą wolność obywatelską. Określając ściśle, są oni najpierw ludźmi, a potem dopiero obywatelami kraju.

Ta odmiana patryotyzmu, tak bardzo różna od łacińskiej, pojawiła się po raz pierwszy na zachodzie Europy w piątym stuleciu naszej ery. Do Galii wnieśli ją Frankowie, do Wielkiej Brytanii—Saksoni. Frankowie i Saksoni należeli do ustroju społecznego, noszącego w naukach społecznych miano *ustroju indywidualistycznego*, ponieważ w ustroju tym, w przeciwieństwie do tradycji, pozostawionych przez państwo rzymskie, *indywidualizm* góruje nad państwem. Nowy wpływ uwydatnił się natychmiast we Francji i w Wielkiej Brytanii w znacznym rozdrobnieniu państwa. W wiekach średnich bowiem w rzeczywi-

stości było tyleż państweczek, ile posiadłości, bo każdy właściciel panował na swojej ziemi, wykonywał sprawiedliwość i pilnował porządku, czuwał nad bezpieczeństwem. Wielka Ojczyzna rzymska została więc zastąpiona mnóstwem drobnych ojcowizn.

Nie mogę wyjaśnić tu, jak i dlaczego ten nowy ustrój społeczny stopniowo zanikał we Francyi, wypierany przez wielką monarchię zcentralizowaną, a utrzymał się w Anglii. Faktem jest tylko, że dziś badać możemy ten ustrój głównie u ludności typu anglo-saksońskiego, tj. w Anglii, jej licznych koloniach, oraz w Stanach Zjednoczonych.

Dla określenia formy, jaką u tych narodów przybiera patryotyzm, wystarczy przypomnieć sobie ich kilka cech znamienych, a dobrze znanych.

Pierwszą stanowi *łatwość, z jaką jednostki opuszczają ojczyznę, bez myśli o powrocie*. A mowa tu nie o osiedleniu nieopodal granicy, lecz daleko, niezmiernie daleko, pod innym niebem, w odmiennym klimacie, często w antypodach. Kolonista anglo-saksoński czuje widocznie, iż ojczyznę swoją nosi w sobie i jest ona tam, gdzie on może żyć swobodnie.

Drugim rysem charakterystycznym jest *niezależność kolonii od ojczyzny — matki*. Dopóki są z nią połączone, kolonie zachowują wielką niezawisłość, korzystając z samorządu i nie uważają bynajmniej, aby nieodzownym warunkiem miłości ojczyzny było dać się jej wyzyskać lub ulegać jej rządóm. Lecz i ten luźny związek jest tylko czasowy i nie przedłuża się ponad okres potrzebny do zorganizowania i wyrobienia społecznego: kolonie, jak dowodzą młodzi Anglicy, dążą do oddalenia się od ojczyzny. W ten sposób oddzieliły się od Anglii Stany Zjednoczone, a z dniem każdym wzrastają separatystyczne dążności w Australii, Nowej Zelandyi, w Kanadzie i Przylądku Dobrej Nadziei

„Mieszkańcy kolonij angielskich — pisze jeden ze współczesnych podróżników ¹⁾ — z dumą nazywają się dziś Australczykami, Kanadyjczykami itp. Poczucie narodowe wzmagą się z dniem każdym, a podsyca je sam „John Bull“. Każdy bowiem Anglik, osiedlający się w koloniach, po kilku latach przestaje być Anglikiem i przemienia się w przywiązanego do nowej ojczyzny Kanadyjczyka, Afrykanina itd. Przez grzeczność więc tylko względem matki-ojczyzny ci Anglo-Saksoni przyjmują z jej poręki gubernatorów, pod warunkiem wszakże, aby nie zajmowali się więcej polityką, niż to czyni królowa lub członkowie rodziny królewskiej“.

Za trzecią cechę wybitną poczytać należy *zupełne odrzucenie militarystyki*. „Anglia,—pisze znowu Reclus ²⁾ — licząca cztery razy więcej poddanych, niż wszystkie inne państwa Europy razem wzięte, jest jednak mocarstwem, posiadającym najmniej liczne wojsko stałe; jej armia regularna wynosi około stu tysięcy ludzi.“ Zatem ledwie szóstą część wojsk francuskich, niemieckich i rosyjskich, czwartą austriackich, a trzecią włoskich i to na stopie pokojowej; jeśli zaś uwzględnimy ilość mieszkańców, to stosunkowo wypadnie nam część trzydziesta lub czterdziesta.

Najlepszym jednak dowodem, jak narody te nie są zorganizowane w widokach wojny, jest następujący opis Reclus'a ³⁾. Pobór nie istnieje wcale w Anglii, a rząd niema prawa powoływać przymusowo z łona narodu do wojska ludzi, którzyby potem mogli mu służyć do zwalczania woli tegoż narodu. Rok rocznie wojska byłyby rozpuszczane fak-

¹⁾ Max O'Reill, w pracy p. t.: „Dom Jolin Bulko i S-ki“.

²⁾ W „Nowej geografii powszechnej“ w t. 1V.

³⁾ W tejże geografii, str. 879.

tycznie, gdyby parlament nie uchwalił zatrzymać ich nadal. W zasadzie monarcha nie ma prawa utrzymania stałej armii bez zgody izby gmin, łożących potrzebne fundusze i co rok zatwierdzających *Muting Act*, na którym opiera się kodeks wojskowy". Zaznaczyć zaś trzeba, że pobór nie istnieje także i dla marynarki, więc żołnierze i marynarze rekrutują się z ochotników wyłącznie.

W Stanach Zjednoczonych armia jest jeszcze mniej liczną, bo na olbrzymią przestrzeń i ludność wynosi w czasie pokoju tylko 26,000 ludzi.

Dążności przeciwne militaryzmowi objawiają się również w rozroście stowarzyszeń pokoju, które rozwinąć się zdołały poważniej niemal wyłącznie w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Według tablicy, którą mam pod ręką, rozmaite francuskie stowarzyszenia pokoju liczą razem około 1,200 członków, jedyne wzmiankowane towarzystwo niemieckie 70-ciu, podczas gdy pięć stowarzyszeń angielskich aż 25,000 i to nie wspominając o *Peace Society*, które zawiązane w roku 1816, obecnie ma kilka milionów członków. W Stanach Zjednoczonych jest również stowarzyszenie pokoju o kilku milionach członków, a liczba tego rodzaju towarzystw jest bardzo znaczną i rozszerza się ustawicznie.

Jako ostatni objaw znamieny przytoczyć mogę jeszcze *usiłowanie załatwiania sporów międzynarodowych nie przez wojnę, ale sposobem układów polubownych*. Od r. 1816 narody całego świata zawarły 72 układy polubowne. W tej liczbie 23 odnosiły się do Anglii, a 36 do Stanów Zjednoczonych. Cyfry te nader wymownie świadczą, że patryotyzm rasy anglo-saksońskiej skłonniejszy jest do układów polubownych, niż do walki czynnej.

V.

A teraz możemy porównać z sobą te cztery odmiany patryotyzmu.

Patryotyzm oparty na wyznaniu religijnem dziś ogranicza się do pustyni, gdzie z wielkim wysiłkiem podtrzymują go bractwa muzułmańskie, nie ma on już i mieć nie może żadnego oddziaływania nazewnątrż. Wśród narodów Zachodu religia stosuje coraz większą tolerancję, rozpowszechnia się drogą przekonywania, a nie narzuca siłą, panowanie swoje ogranicza do sumienia i nie odwołuje się do pomocy władz, w celu zyskania sobie nowych wyznawców. Ten rodzaj patryotyzmu zanika na całej linii.

Patryotyzm, oparty na współzawodnictwie handlowem, także się już przeżył. Przyczyny, które go ongi wywołały na wybrzeżach morza Śródziemnego, przestały oddawna działać. Starożytne państewka fenickie, kartagińskie, greckie, a potem weneckie i genewskie nie istnieją także, a upadkiem swoim dowiodły, co wart taki patryotyzm, jako siła społeczna. Obecnie konkurencya stała się „duszą handlu“ i mimo przeszkód celnych, któremi rządy usiłują pohamować ją lub zmniejszyć, zapory obniżają się ciągle i handel rozwija się coraz swobodniej na całym świecie.

I druga odmiana patryotyzmu zatem łącznie z pierwszą zamiera i przechodzi już do historii.

Niestety, nie możemy tego powiedzieć o *patryotyzmie państwowym, opartym na ambicji politycznej*, żyje on jeszcze. Zdradza bowiem niezawodny symptomat przeżycia, bo podtrzymywać go trzeba sztucznymi środkami i posługiwać się coraz te energiczniejszymi podnietami.

Możliwym jest np., iż między Francją a Niemcami zwyciężoną zostanie ta strona, która pierwsza ugnie się pod ciężarem wydatków tego pokoju, kosztowniejszego od wojny. W owym atoli czasie i zwycięzca nie o wiele będzie silniejszy.

Rzeczywistego zaś zwycięzcy dostarczą społeczeństwa, należące do odmiany czwartej.

Jest to *patryotyzm, oparty na niezależności w życiu prywatnem*, posiadający wszystkie cechy, zapowiadające mu rozwój i przyszłość.

1^o *Patryotyzm ten* rozwija się naturalnie, bez żadnych podniet sztucznych i nieustannych, a jest wytworem społeczeństwa, wyrabiającego w człowieku potrzebę niezależności.

Aby więc utrzymać tę niezależność wobec władz państwowych i odeprzeć skrepowania zbyteczne, jednostka powoduje się tylko swoim własnym instynktem. Patryotyzm tego rodzaju jest zatem równie naturalnym objawem, jak konieczność jedzenia, picia, spania.

2^o *Patryotyzm taki wzbogaca*. Najprzód biernie, usuwając rujnujące wydatki, a następnie czynnie, bo dzielnie podnieca energię, zapewniającą powodzenie w życiu prywatnem. To też społeczeństwa, do tego typu należące, są niezaprzeczalnie najbogatsze na kuli ziemskiej i to najbogatsze przez pracę.

3^o *Patryotyzm taki podnosi ducha*. Na ten punkt właśnie muszę położyć nacisk, gdyż interesem naszego szowinizmu było wypaczyć poglądy pod tym względem. Szowinizm utrzymuje, że wojna jest źródłem ważnem, jeśli nie najważniejszym podniesienia ducha i gdyby wojen nie stało, obniżyłaby się wartość moralna ludzkości. Podobne zdanie może bardzo użytecznie podniecać narody do zajadłego napadania się wzajemnie, ale prawdziwości jego zaprzeczają fakty oczywiste.

Dzicy w Ameryce południowej i w Afryce walczą bezustannie z sobą, wydzierając sobie terytoria, obfitujące w zwierzynę, od wieków więc już powiniby wznieść się do wysokiego poziomu moralnego, a tymczasem pozostają na najniższym szczeblu.

Historia narodów cywilizowanych poucza nas, że okresy napadów i wojen, to jest okresy, w których patryotyzm wojowniczy podniecony był do wysokiego stopnia, są właśnie czasami powszechnego upadku moralnego. Z pod pióra bowiem historyka tłoczą się opisy zabójstw, zdrad, bratobójczych walk i najrozmaitszych zbrodni, a tego niepodobna po czytać za objaw udoskonalenia moralnego. Podniecona ambicja, żądza podbojów i panowania, popycha wodzów do pogwałcenia wszelkiej moralności, a upojenie i zaciekłość walki wywołuje okrucieństwa, gwałty i rozpustę żołnierzy, znane pod nazwą „wyuzdania żołdeckiego“.

Można wprawdzie zarzucić, iż przy obecnym systemie prowadzenia wojny podobne czyny, jeśli się zdarzają, to już o wiele rzadziej. Zapewne, lecz obniżenie poziomu moralności, choć w odmienny sposób, nie jest jednak i dziś mniej znacznem.

W krajach ucywilizowanych wojna jest obecnie wyjątkiem, a zwykle zatrudnienie żołnierza, to zbrojny pokój. Odbiegliśmy już daleko od czasów, gdy rycerze siwieli w boju.

4^o *Patryotyzm podobny przyspiesza rozkwit i rozpowszechnienie rasy na całym świecie.*

Podczas gdy my, po obu stronach Renu i Alp, usiłujemy wszelkimi możliwymi środkami rozgrzać stygnący patryotyzm, urządzamy przeglądy wojsk, obchodzimy rocznice wojennych wypadków; przeciwnik, którego nie widzimy i lekceważymy—bo nie jest, jak my, uzbrojony od stóp do głów, spokojnie rozsyła na wszystkie morza niezliczone okręty swoje

i nieznacznie opanowywa świat również niezliczonymi zastępami kolonistów.

Przejęci ideą już przedawnioną, że siła rasy wpływa z potęgą jej władz państwowych, zapóźniliśmy się w rozwoju swoim. Gdyby tak miało być istotnie, to rasy łacińskie powinnyby panować obecnie nad światem, a tymczasem widzimy, że wszędzie cofają się przed rasą anglo-saksońską, w której władza państwowa jest tak ograniczoną i niewojowniczą. Gdybyśmy nareszcie mogli pojąć tę prawdę, to potrafilibyśmy osiągnąć daleko lepszy odwet nad Niemcami, niż ten, o jakim się tyle rozprawia.

Znaleźlibyśmy go bowiem nie w przewadze wojskowej, która osłabia zarówno zwycięzcę, jak i zwyciężonego, lecz w przewadze społecznej, która jedynie jest istotną, gdyż opiera się na pracy i niezależności w życiu prywatnym.

Wojna lub jej uzupełnienie, zbrojny pokój, nie są koniecznością nieuniknioną, lecz wytworem różnych typów ustroju społecznego, jakie dotąd przeważały.

Dla społeczeństw, które zdołały się z tego ustroju wyzwolić, wojna jest wypadkiem coraz rzadszym, na którym zachowują, jako wspomnienie, bardzo nieliczne wojsko na obronę w potrzebie od społeczeństw grzędnących jeszcze w przestarzałym militarystyce.

ROZDZIAŁ VI.

Odrębność poglądów anglo-saksona i francuza na solidarność.

Teorya o solidarności jest modną we Francyi, a jeden z dawnych prezesów gabinetu, p. Leon Bourgeois, napisał o tym przedmiocie studjum specjalne ¹⁾.

Stwierdza on w niem, że ta doktryna znajduje zwolenników w różnych bardzo obozach: u socyalistów, katolików, niektórych ekonomistów niemieckich, kilku filozofów, jak pp. Feuillee i Izoulet, wreszcie wśród pozytywistów, którzy ją nazywają altruizmem.

„Dla wszystkich wszakże—pisze p. Bourgeois—pod różnemi określeniami doktryna jest jednaką i daje się streścić do tej myśli głównie, że między każdą jednostką a ogółem zachodzi potrzebny węzeł solidarności“. Gdyby teza istotnie na tem polegała, byłaby nieszkodliwą zupełnie i właściwie tyl-

¹⁾ „Solidarność“, str. 117 (Przyp. autora).

ko banalną prawdą. Nie należy jednak dać się ludzi tym pozorom, gdyż wyznawcy tej doktryny w rzeczywistości dążą do podporządkowania kwestyi socyalnej zasadzie solidarności i przez solidarność pragną rozstrzygnąć zagadnienie społeczne.

Czy jednostka ma być podporządkowana państwu, czy też państwo jednostce?—oto pytania, stawiane przez stronników solidarności, wypowiadających się w duchu pierwszego pytania. Widzimy więc, iż podnoszą kwestyę niemało ważną, którą zbadać warto.

I.

Zasadniczy argument p. Bourgeois jest ten, że jednostka powinna być podporządkowaną społeczeństwu, bo jest jego dłużniczką, nietylko dłużniczką współczesnych, ale i dawnych pokoleń, „ponieważ bierze udział w spadku po przodkach swoich i wszystkich wogóle“.

Zdanie to wykazuje, w jakim kierunku autor rozwijać będzie swoje dowodzenia, lecz także i w jaki sposób odeprzeć można jego twierdzenie w tym samym tonie i sposobie.

„Ludzie—powiada on—wymieniają wzajemnie usługi podczas wspólnego życia“, zatem są solidarni.

Na co odpowiedzieć można: Prawda! lecz wymieniają także i kulaki, oraz współzawodniczą z sobą, a przeto nie działają solidarnie.

„Rodząc się—twierdzi dalej p. Bourgeois—człowiek zaczyna użytkować z niezmiernego kapitału, który nagromadziły przeszłe pokolenia i staje się dłużnikiem“.

Tak, ale te pokolenia zmniejszyły zasób produktów natury, z których człowiek mógł żyć, ilość:

rozporządzalnego gruntu, co utrudniło walkę o byt; człowiek zatem jest wierzycielem, a nie dłużnikiem.

W ten sposób można dysputować bardzo długo i nie posuwać, ani rozjaśniać kwestyi wcale, gdyż byłaby to zabawa szkolarska, w której każdy sądzi, iż zamknął usta przeciwnikowi niezbitym argumentem.

W rzeczywistości bowiem ludzie mają interesy wspólne i sprzeczne, są też jednocześnie dłużnikami i wierzycielami społeczeństwa.

Trzeba wyjść jednak z tego błędnego koła zdań sprzecznych, a studyum p. Bourgeois podaje po temu sposobność.

Rozpocniemy od poglądu, do którego wspomniany autor zdaje się przywiązywać bardzo wielką wagę, bo powraca do niego wielokrotnie i głównie na nim gruntuje twierdzenie o konieczności podporządkowania jednostki społeczeństwu.

„Człowiek—pisze p. Bourgeois—rodzi się dłużnikiem społeczeństwa, gdyż, wchodząc do jego związku, znajduje swoją część dziedzictwa nagromadzonego pracą własnych i wszystkich przodków wogóle, tak dalece, iż najskromniejszy z dzisiejszych pracowników przewyższa człowieka z okresu kamiennego o całą skalę, dzielącą go znowu od człowieka genialnego.

„Historja ludzkości — pisze dalej — jest historją zdobycia i spożytkowania wszystkich sił ziemskich. Zdobycz ta dokonana została za cenę niesłychanych wysiłków i ofiar, przechodzących wszelką miarę i obrachunek, dzięki tylko rozumowi i woli naszej rasy w tym celu, aby każdy członek tej ludzkości mógł w dobie swego istnienia znaleźć możność swobodniejszego rozwoju swych uzdolnień i energii

w jak najlepszych warunkach dla swego ciała, myśli i sumienia“¹⁾.

Na to zgoda: człowiek dłużny jest społeczeństwu wszystkie dokonane przez niego postępy i jemu także zawdzięcza obecną wyższość nad „dzikim z okresu kamiennego“.

Nasuwa się jednak kwestya, w której ukrywa się jądro rzeczy, jakim sposobem osiągnięte zostały te postępy społeczne: czy, jak przyznaje p. Bourgeois, przez podporządkowanie jednostki społeczeństwu, czy też przeciwnie?

Wyrażając się inaczej: czy postęp społeczny, z którego dziś korzysta jednostka, za co ma odtąd zostać podporządkowaną zbiorowości, czy postęp ten dokonany został pracą zbiorową, czy też trudem jednostek, przez społeczeństwa, w których przeważała inicjatywa ogólna i państwowa, lub też przez te, gdzie więcej rozwinięta była inicjatywa prywatna oraz indywidualna?

Niepodobna bowiem opierać teorii na stwierdzeniu postępów, uczynionych przez ludzkość, a potem odrzucić warunki społeczne, które te postępy wywołały.

Tak postawione pytanie staje się zrozumialsze, ponieważ każdy stwierdzić może, iż społeczeństwa nowożytne więcej przyczyniły się do postępu ludzkości, niż starożytne. Zarówno nowożytne, jak i zachodnie społeczeństwa, zawdzięczały swoją społeczną wyższość wzrostowi przewagi działalności jednostek nad akcją zbiorową. W miarę bowiem przebiegu czasu lub posuwania się ku zachodowi, spostrzegamy, jak indywidualność jednostek coraz wyraźniej się wyodrębnia, a jednocześnie wzmaga się praca

¹⁾ „Solidarność“ (Przyp. autora).

indywidualna, prześcigając czynności zbiorowe i państwa. Od pracy niewolniczej przechodzi ludzkość do okresu pracy swobodnej, od pracy zbiorowej do indywidualnej, a współcześnie własność kolektywną zastępuje własność osobista, rodzinę patryarchalną — stadło małżeńskie; plemię, kasta, klasa, oraz inne korporacje zamknięte znikają, a natomiast następuje równość polityczna.

To wszystko jest tak jasne, znane i stwierdzone, iż nie potrzebuję już ani udowadniać, ani kłaść większego na to nacisku. W gruncie p. Bourgeois podziela wyrażone przezemnie zapatrywanie i zna słabą stronę systemu, który ukrywa pod nieokreślonym a nie kompromitującym wyrazem: solidarność. Zdaje sobie doskonale sprawę, że w końcu taki system doprowadzićby musiał do zmiążdżenia jednostki, a więc w następstwie i do stłumienia postępu, na który się powołuje. To też z góry p. Bourgeois stara się odpowiedzieć na spodziewany zarzut.

„W historii społeczeństw — mówi on — jak w historii gatunków, przekonano się, że walka *o rozwój indywidualny jest pierwszym warunkiem postępu*, swobodne zaś ćwiczenie zdolności i energii osobników może jedynie wytworzyć początek ruchu, a ponieważ swoboda jednostek jest pierwszą sprężyną wszelkiego rozwoju społecznego, więc im bardziej swoboda ta wzrasta i wzmacnia się przez wyrobienie dzielności fizycznej, psychicznej i moralnej jednostek, tem rychlej potęgować się może i powinna akcja społeczna“.

Zdanie to jest zupełnie słuszne; wkrótce jednak potem autor osłabia jego znaczenie, aby pogodzić je ze swoją tezą i twierdzi, że siły indywidualne nie powinny być pozostawione sobie. „Zespolenie indywidualnych czynności i ujęcie ich w karby — przez siłę w czasach rządów absolutnych, a dobrowolne — w okresie wolności — mogło jedy-

nie wytworzyć i utrzymać zgrupowanie ludzi w rodziny, plemiona, kasty, zbory wyznaniowe lub narody¹⁾).

Wyższą jest zatem — zdaniem p. Bourgeois — organizacya, „w której panuje równowaga między jednostkami a całością, tak, że całość istnieje dla jednostek, a jednostki dla całości i gdzie dwa wyniki postępu, uważane za sprzeczne z sobą, t. j. rozwój życia indywidualnego i rozwój życia społecznego, stają się istotnie z sobą nierozdzielne“.

W teoryi taka mieszanina inicjatywy prywatnej i władzy państwowej może wydawać się dość pojętną. Autor pragnął widocznie zadowolnić wszystkich. W jakim jednak stosunku i kto właściwie ma tej mieszaniny dokonać? Kto ją nawet przeprowadzić zdoła, skoro chemia społeczna jest daleko więcej skomplikowaną od fizycznej? Pan Bourgeois daje nam na to odpowiedź w rozdziale zatytułowanym „Doktryna praktyczna solidarności społecznej“. Oto jej charakterystyczny ustęp. „Formuła, określająca łącznik społeczny, będzie musiała uwzględnić naturę i cele społeczeństw ludzkich; warunki, w jakich każdy członek w nie wchodzi; wspólne korzyści, z których użytkować będzie, oraz wspólne ciężary, jakie ma ponosić. Wyrażając się inaczej, najprzód rozpatrzeć należy przychód i rozechód każdego, uczynić ścisły rachunek z tego, co on ma i co winien, a dopiero z tej podstawy wysnuć regulamin praw i obowiązków każdego członka społeczeństwa“.

„Prawodawstwo pozytywne będzie tylko praktycznym wyrazem takiego ściśle sprawiedliwego podziału korzyści i ciężarów zbiorowych. Nie stworzy bowiem nowych praw, lecz drogą obserwacji

¹⁾ Str. 64 (przyp. autora).

wydobędzie na jaw prawa wzajemnych stosunków ludzkich, ograniczając się do ich rozpoznawania i zapewnienia im poszanowania. Wyjaśnienie zaś koniecznego stosunku, jaki zachodzić musi między przedmiotami związku, oznaczy tem samem i stosunek wzajemny sumień stowarzyszonych“.

Nie będzie to więc prawo ustanowione przez społeczeństwo i narzucone przez nie ludziom, lecz prawo społeczeństwa, wytworzone przez ludzi¹⁾.

Widzimy więc, iż p. Bourgeois spodziewa się, że ludzie w przyszłości, zapewne odległej, będą dość oświeceni i rozsądni, aby zawrzeć między sobą rodzaj społecznego kontraktu lub dobrowolnego stowarzyszenia, w którymby „wszystkie wrogie siły spożytkowane zostały z korzyścią dla każdego z osobna i wszystkich razem“.

Jest to zapewne widzenie godne wytwornego filozofa, a zarazem cel, do którego ludzkość dążyć może i powinna, lecz jest nam tem trudniej śledzić za autorem aż do tej oddalonej przyszłości, że nie możemy dojrzeć, jakim sposobem autor wyprowadza ten wniosek ostateczny z założenia postanowionego poprzednio. Wszak wskazał on nam dwie siły w ludzkości: czynność indywidualną i działalność zbiorową, oraz przyznał, że postępy dokonane zawdzięczamy pierwszej z tych sił, a jednak uważa za potrzebne rozwijać drugą, to jest działalność zbiorową, i od niej spodziewa się „nadejścia nowego systemu pokojowego rządu, zawarowanego umową“.

Nie sędzę, abym się bardzo mylił, twierdząc, że sprzeczność powyższych wywodów jest świadomą.

Pan Bourgeois jest przede wszystkim—politykiem, więc zależy mu głównie na zjednaniu jak największej liczby zwolenników i zainteresowaniu ich,

¹⁾ Str. 94.

obawia się zatem ich zrazić, mówiąc im poprostu; „Kochani przyjaciele! Życie nie jest wcale rozkoszną zabawką; przeciwnie, jest ono nieustanną walką codzienną, z trudnościami ciągle się odnawiającymi. Wszystko zaś to, co rodzina, przyjaciele, sąsiedzi uczynić mogą, aby wam w tej walce dopomóżyć, jest wistocie bardzo drobną tylko pomocą wobec tego, co możecie uczynić sami... jeśli zechcecie zadać sobie ten trud“ itd.

Przyznać trzeba, że podobna przemowa, choć bardzo trzeźwa, może zwrócić zaledwie uwagę bystrzejszych umysłów, ale nie zdoła pociągnąć tłumów, zwłaszcza tych, które podtrzymują kariery wielkich polityków w nadziei, że przy nich dorobią się także majątku. Tłumy te bowiem spodziewają się bardzo wiele, jeżeli nie wszystkiego od państwa, tej wielkiej zbiorowości.

Daleko więc łatwiej zjednać je sobie, przyrzekając im udoskonalenie społeczne drogą solidarności. Solidarność jest określeniem wygodnym, bo nie ścisłym, na które wszyscy zgodzić się mogą, gdyż nie zawadza nikomu i nie zmienia w niczem toku spraw ogólnych. To też teoria solidarności podoba się ogólnie wszystkim, ponieważ nie wymaga od ogółu żadnego wysiłku. Ogół zaś uważa zawsze za wygodniejsze dla siebie polegać na czyjejs pomocy; również teoria ta przypada do gustu politykom, socyologom, filozofom i filantropom, gdyż z niewielkim trudem pasuje ich na ludzi, umiejących współczuć ludzkiej niedoli.

Jeżeli jednak zasada ta przysporzyć może swoim rzecznikom wielu zwolenników, to nie wystarcza, aby polepszyć warunki bytu ludzkiego, lecz przeciwnie, pogarsza je, gdyż w teorii solidarności jest więcej urojeń, niż rzeczywistej prawdy, co postaram się wyjaśnić poniżej.

II.

Najprzód niedość jest głosić, iż ludzie są solidarni między sobą i nawoływać ich do udzielania sobie wzajemnej pomocy, aby solidarność zapanowała w społeczeństwie, lub przynajmniej znacznie się rozwinęła. Dążność do polegania na zbiorowości społecznej i do podporządkowania jednostki społeczeństwu objawia się w ludzkości według praw bardzo ścisłych, które obserwacya wyjaśniła, a czytelnicy już poznali. Tam, gdzie dążność ta istnieje, tam powstała samoistnie i prawidłowo, jak wszelkie inne zjawiska naturalne, bez żadnych nawoływań. Aby więc solidarność rozwinąć, należy tylko postawić się w warunkach, wytwarzających zjawisko to drogą naturalnego następstwa.

Niestety jednak—i w tem właśnie ujawnia się złudzenie solidarności — im bardziej taka dążność wzrasta, a jednostki zostają podporządkowane zbiorowości, tem silniej nawykają do polegania na tej ostatniej, a nie na siłach własnych i stają się bierniejsze wobec trudności, jakie życie nastęrcza, bo warunki te przytępiają energię i wytrwałość. To też niema innej przyczyny niższości plemion Wschodu i Zachodu.

Skoro więc zmniejsza się dzielność jednostek pod wpływem środowiska, powinnyby w tym samym stopniu potęgować się w natężeniu opiekuńcza działalność zbiorowości, gdyż inaczej równowaga społeczna musiałaby być zachwiana. Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie, co jest bardzo naturalne i do pojęcia łatwe, gdyż społeczeństwo, do którego tak wygodnie się odwoływać, jest w istocie tylko sumą ogółu jednostek, na nie się składających. Wszystko zatem, co osłabia jednostkę, musi osłabić w następstwie i zbiorowość, t. j. społeczeństwo. Mam ochotę

przeprosić czytelników za to, że jestem zmuszony do wygłaszania prawd, tak bardzo oczywistych.

Z tego bowiem wynika, że im bardziej odwoływanie się do solidarności jest potrzebne dla jednostek, tem trudniej przychodzi im otrzymywanie tej pomocy i tem mniej bywa ona skuteczna.

Podwójna niedogodność cechuje zatem ten ustrój społeczny, wytwarzający ludzi nieudolnych i pomnażający ciągle ich liczbę, a jednocześnie tracący możność podtrzymywania ich i dopomagania im. Dla zaradzenia więc nadmiarowi cierpień społecznych, solidarność, to jest właściwie pomoc społeczna, okazuje się w rzeczywistości środkiem wyjątkowym, a mało skutecznym i chwilowo tylko działającym. To nie lekarstwo, które leczy, ale narkotyk, na chwilę przytłumiający ból zbyt ostry. Kojąc ból, narkotyk zarazem usypia chorego.

Zastosowanie teorii o solidarności w praktyce spotyka jeszcze jedna trudność, a mianowicie: potrzeba poprzedniego zezwolenia ze strony ogółu, a przeto zawarcia takiego kontraktu społecznego, o jakim marzy platonicznie p. Bourgeois.

Przeciwnie zastąpienie wysiłku zbiorowego przez wysiłek indywidualny pozostawia każdemu staranie o swe ocalenie społeczne tak, jak religia troskę o zbawienie duszy, gdyż ocalenie społeczne, zarówno jak i zbawienie, jest sprawą osobistą, a nie kolektywną. Powinien więc każdy rozstrzygnąć sam dla siebie zagadnienia życia, a przez wychowanie zapewnić dzieciom swoim jak najlepsze warunki do takiego rozstrzygnięcia w przyszłości.

W miarę, jak w umysłach zaszczepia się przekonanie, iż udoskonalenie społeczne jest dziełem, nad którym należy pracować indywidualnie, wzrasta również i przeświadczenie, iż trzeba polegać tylko na samym sobie i usilnie wyęźać swoją energię: wolę i wytrwałość.

Przewiduję możliwość zarzutu, iż podnoszę samolubstwo do znaczenia doktryny społecznej. Ale gdy już padło to wielkie słowo, przerażające tyle osób, trzeba się z niem rozprawić i wykazać, po której stronie istotnie znajdują się obrońcy samolubstwa.

Powiedziałem wyżej, że teoria solidarności jest złudzeniem, a teraz dodaję, iż jest także jedną z form, jakie przybiera egoizm, którą nazwać by można: egoizmem wstydliwym. Miałem nawet zatytułować niniejszy rozdział „Egoizm altruizmu“ i postaram się przekonać czytelników, że nie byłaby to tylko czcza gra słów.

Solidarność obejmuje dwie czynności: pomoc podawaną przez nas bliźnim i pomoc, jaką oni nam wyświadczają.

Zapytuję przeto, co w tej doktrynie wydaje się tak ponętne i zjednywa jej tylu zwolenników: Czy myśl dopomagania innym, czy też nadzieja doznawania od nich pomocy?

Wszak ci, którzy mają ochotę wspierać bliźnich, mogą to czynić bez przeszkody z dnia na dzień i faktycznie robią to od początku świata, nie nadając swoim czynom znaczenia społecznej doktryny i nie obwieszczając o nich rozgłosnie. Powodzenie nowej teorii o solidarności nie wynika też wcale z myśli o pomocy, udzielanej bliźnim. Przyznać jej należy raczej chęci doznawania z jakiegobądź tytułu pomocy, poparcia, opieki ze strony państwa i kolektywistycznego społeczeństwa. Ten wzgląd jest rzeczywiście pociągający i nader popularny, co zdradza odrazu egoizm, ukrywający się pod złudnemi pozorami solidarności.

• Zarówno obywatel, dostarczający budżetowi państwowemu pieniędzy, jak i ten, co z tego budżetu czerpie, biorą udział w akcie solidarności społecznej, w sposób jednak zupełnie różny i daleko

przyjemniejszy dla drugiego, niż dla pierwszego. Ogólnie też człowiek jest o wiele pochopniejszy do zajmowania urzędów, niżeli do płacenia podatków, jak jest skłonniejszym do zapatrywania się na solidarność ze względu raczej na własną korzyść, niż na pożytek swoich współbraci.

Wbrew bowiem zapewnieniom p. Bourgeois, ludzie chętniej wyzyskują bliźnich, niż im służą. Na poparcie tego twierdzenia przytoczę dwa dowody, zaczerpnięte z wyników systemu naszej kolonizacji.

Pierwszy opisuje nam profesor filozofii, p. Lapie, w „Przeglądzie metafizycznym“ (*Revue metaphysique*), jako przykład wyzyskiwania krajowców w naszych koloniach przez Europejczyków. „Bezwzględność i despotyzm—pisze on—rozkwitają tam bujnie na wszystkich szczeblach drabiny społecznej i to w formach najjaskrawszych. W koloniach naszych urabia się prawdziwy feudalizm. Samowładnym panem jest tam Europejczyk, poddany—krajowiec. Pan samowładny wymierza sprawiedliwość, t. j. konfiskuje bydło, które wchodzi paść się na jego pola, lub oznacza sam wysokość odszkodowania, które mu się należy. Służba naśladuje panów swoich, sługa Europejczyk, pozostawiony sam na sam ze służbą, z krajowców złożoną, przestaje pracować i bez upoważnienia wydaje rozkazy. Wojskowi przewyższają cywilnych w bezwzględności. W rezultacie warunki życia w koloniach nie sprzyjają wcale rozwojowi moralności.“

Przykład drugi podany jest przez człowieka zupełnie innych przekonań, przyrodnika, dawnego gubernatora Tonkinu, p. de Lanessan, który znaczną część swego życia przepędził w koloniach. Opisuje on stosunki Europejczyków z krajowcami w swojej nowej książce p. t. „Zasady kolonizacji“ (*Principes de colonisation*). „Człowiek najbardziej ucywilizowany — twierdzi p. Lanessan — w koloniach sta-

je się podobnym do dzieci, bo jak one względem zwierząt domowych, tak on w stosunku do krajowców, nie zachowuje żadnych względów ludzkich. Nie szanuje ani ich religii, ani rodziny, ani urzędzeń społecznych, ani własności, ani osoby, ani nawet ich życia. Obecna kolonizacya nie jest zatem o wiele mniej barbarzyńską od kolonizacyi epok najdawniejszych“. A na poparcie tego surowego sądu przytacza p. Lanessan mnóstwo faktów, bo wszędzie to samo się dzieje, i w Indochinach, i w Madagaskarze, i na wybrzeżach Afryki. Wnosi też p. Lanessan, że „należy coprędzej zarzucić ten ohydny system postępowania, jeżeli nie chcemy, aby na nim cierpiała nasza polityka kolonialna“.

Sądzymy także, iż wielki czas zerwać z haniebnym systemem postępowania, dzielącym ludzi na dwie kategorie: tych, którzy wyzyskują solidarność społeczną na swoją korzyść, i takich, którzy pragną wyzyskać ją z kolei na własny pożytek.

Pierwsi uciskają, drudzy są uciskani; ideałem jednych i drugich jest wszakże żyć kosztem kolektywnej zbiorowości—kosztem społeczeństwa.

Ale jakim sposobem pozbyć się tego systemu?

Z pewnością nie nawoływaniem do solidarności, gdyż mniej sprytne osobniki nawet potrafią wyciągnąć z niej korzyść osobistą ze szkodą bliźniego, a bystrzejsi wyzyskać go aż do zupełnego zgniecenia.

Postęp społeczny nie polega na opieraniu się na sąsiedzie i wyzyskiwaniu go, a to uszanowanie jego swobody jest nawet najlepszym dowodem solidarności, jaki mu dać można. Przeciwnie, postęp ujawniać się będzie w miarę, jak każdy uczuje się zdolnym do polegania na sobie, będąc zaprawionym do wysiłku osobistego, oraz inicjatywy indywidualnej. Co dowodzi, iż ważniejszy jest rozwój czynności indywidualnej, niż społecznej.

Widzieliśmy, że nawyknienie umysłów do rachowania na pomoc zbiorowości osłabia dzielność jednostek, podczas gdy poleganie na sobie samym podnieca energię i żywotność. Wpływ taki otoczenia jest powszechnie znany. Dzięki jemu, dobrzy pracownicy stają się wybornymi, znośni — dobrymi, źli zaś wcale znośnymi, a wpływ ten wywołuje powszechny ruch ku udoskonaleniu. Pisząc to, nie stawiam dowolnej hipotezy, lecz fakt ustalony i do stwierdzenia łatwy.

Mój przyjaciel i współpracownik, p. de Rousier, podczas ostatniej swojej podróży do Ameryki w celach naukowych ¹⁾ pisał do mnie z Cincinnati:

„Jaką kopalnią obserwacji jest ta Ameryka! Napływ emigrantów najrozmaitszych narodowości jest tu nieustanny i ciągle występuje kwestya podatności i niepodatności różnych ras do przystosowania się do wyjątkowych warunków życia amerykańskiego. Przejawy te są niezmiernie interesujące, a zwłaszcza ciekawe są postępy, jakich dokonali Irlandczycy od lat dwudziestu. Wszystkie żywioły, osobiście zdolne do rozwoju i doskonalenia się, w tem nowem otoczeniu wyrabiają się i cywilizują. To też już dziś Irlandczyk nie zamiata ulic, jak to czynił dawniej, i przestał być wyrobnikiem nieoświeconym i nieudolnym. Obecnie zastępują go w tych zajęciach inne narodowości: Polacy, Włosi i t. d.“

Obserwacya ta jest bardzo zajmującą i rzuca wiele światła na kwestyę, którą obecnie badamy. Proszę bowiem zestawić uwagę p. Rousier'a z tak bardzo różnemi opisami stosunków w naszych kolo-

¹⁾ Jeździł wysłany przez *Muzeum społeczne*, założone przez hrabiego de Caambrun (Przyp. autora).

niach przez pp. Lapie i Lanessan, a dotrzemy do gruntu kwestyi socyalnej.

W obu wypadkach występują Europejczycy, osiedlający się zagranicą, ale jaka olbrzymia różnica w rezultatach!

Jedni bowiem osiedlili się w krajach o ustroju zbiorowym, w których jednostka niewyrobiona samodzielnie przyuczona jest do oglądania się na pomoc zbiorową więcej, niż do rachowania na siły własne. Oddziaływanie tego środowiska demoralizuje zarówno krajowców jak i Europejczyków, pierwszych uciskiem, jakiemu ulegają, drugich uciskiem, jaki wywierają.

Tymczasem osiedlając się w kraju indywidualistycznym, gdzie krajowcy bronią energicznie swojej niezawisłości wobec państwa, przywykli zdobywać sobie stanowiska własnymi siłami i staraniem, gdzie słowem, czynność i ruchliwość jednostek potęguje się do *maximum* ograniczając przez to samo akcyę społeczną do *minimum*; emigranci europejscy pod wpływem żywotności i energii otoczenia doznają pewnego rodzaju wstrząśnienia moralnego, które ich budzi z apatyi, przekształca i czyni zdolnymi do samoistnej pracy nad polepszeniem swej doli. W tem bowiem środowisku niema sposobu opierania się na swoich współbraciach i wyzyskiwania ich, oraz niepodobna odwoływać się do kłamliwej, a nieokreślonej solidarności, gdyż jest to kraj *self help'u* i wszystko tam woła na człowieka „Pomagaj sam sobie“.

To też dzięki tej potędze oddziaływania środowiska, potędze, z jakiej ci, którzy choć trochę studyowali nauki społeczne, zdadzą sobie sprawę, nawet Irlandczycy hartują się i swoją dzielność urabiają. Wieki przeżyte w ustroju zbiorowym, którego podstawą była *solidarność klanu*, uczyniły ich niezdatnymi do wytrwałej energii i doprowadziły do

tej niemocy społecznej i zawisłości politycznej, w jakiej widzimy ich w Europie. A jednak w indywidualistycznej Ameryce ci ludzie po pewnym czasie porzucają niższe zajęcia, do których spychała ich niezaradność, wywołana denerwującym wpływem doktryny solidarności społecznej, i przestają być zamiataczami ulic, wyrobnikami, bo odzyskali już zdolność do polepszenia swego losu własną pracą. Znajdują się zatem na drodze do swego ocalenia społecznego.

Emigranci polscy i włoscy zbyt krótko jeszcze pozostają w zetknięciu ze środowiskiem anglo-saksońskim i dlatego nie oswobodzili się dotąd z pierwotnego swego ustroju społecznego i przemiany nie rozpoczęli. Przykład rozwoju Irlandczyków w tem nowem otoczeniu wskazuje jednak drogę, po której i tamte narody stopniowo dojdą do swego wyzwolenia społecznego, zawdzięczając je również nowemu środowisku, w jakim się znaleźli.

Postęp ten nie dokonywa się masowo, ale indywidualnie; najzdolniejsi, najpracowitsi wybijają się najpierw, a potem kolejną, każdy podług swych prac i wysiłku uczynionego.

W rzeczywistości zatem społeczeństwa indywidualistyczne więcej sprzyjają rozwojowi istotnej solidarności, niż społeczeństwa o ustroju zbiorowym.

Czytelnicy, którzy lubią zawsze dotrzeć do gruntu w każdej sprawie, zapytają może, jaki w tem środowisku, rządzącem się zasadą samopomocy, jest los jednostek absolutnie niezdolnych do radzenia sobie samoistnie, pomimo wszelkich bodźców i podniet otaczających.

Najprzód, to środowisko ogranicza tych nieudolnych do szczupłej liczby, podczas kiedy teorie o solidarności pomnażają ciągle i szybko ich szeregi. Dowodzi tego przykład Irlandczyków w Stanach

Zjednoczonych, ale choć przykład to nader ważny, nie rozstrzyga wszakże wszystkiego.

Odzwyczając jednostki od polegania na sobie, a przyuczając je do opierania się na innych, teoria solidarności nietylko nie pozwala niezdolnym wznosić się na wyższe stanowiska towarzyskie, ale jeszcze poniżej zdolnych stopniowo, a bezwzględnie, gdyż według wyrażenia ekonomistów, zmniejsza znacznie potęgę ich produktywności i uboży ich, skutkiem czego mogą oni mniej dopomagać innym, gdyby nawet chcieli to uczynić. W tych zaś warunkach bogactwo społeczne zmniejsza się także z tych samych przyczyn, więc też nieudolni nie doznają już pomocy ani od jednostek, ani od państwa.

Pierwszym warunkiem udzielania pomocy niezdolnym, słabym i nieszczęśliwym, jest istnienie w tym kraju licznej klasy społecznej, która jest w stanie przeznaczyć na rzecz dobra publicznego nadwyżkę swoich dochodów. Ustrój zatem społeczny, sprzyjający wzrostowi majątków prywatnych, będzie również najodpowiedniejszy dla rozwoju pomocy tak prywatnej, jak i publicznej.

Proszę porównać np. sumy, wydatkowane na cele dobra publicznego przez Anglików i Amerykanów, z coraz bardziej ograniczonymi kwotami, jakie na te same cele wydajemy we Francji, a wynik tego porównania uspokoi zupełnie co do pomocy udzielanej owym niedołączonym w krajach indywidualistycznych. Powyższy ustrój społeczny posiada jeszcze i tę wyższość, że nietylko dopomaga nieudolnym, ale dopomaga im do dźwigania się stopniowo na wyższe szczeble społeczne, przybliżając tą drogą rozwiązanie zagadnienia socjalnego wogóle, a w szczególności t. zw. kwestyi robotniczej. Dąży zaś do rozstrzygnięcia kwestyi robotniczej przez stopniowe znikanie robotników, do tego bowiem świat zmierza.

Twierdzenie takie wydaje się paradoksem, bo przyzwyczajeni jesteśmy do sądzenia przyszłości według przeszłości, a umysł nasz z trudnością odwyka od form zanikających, aby zrozumieć te, które zaczynają kielkować tu i owdzie w różnych stronach świata.

A jednak ewolucja zarysowuje się już wyraźnie w społeczeństwach bardziej posuniętych w swoim rozwoju. W Anglii, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, przemiana jest znaczną. Dziś już w tych krajach zajęcia niższe spełniane są tylko przez jednostki obce i nowoprzybyłe, które nie zdążyły jeszcze się zasymilować. Rzemiosła wyższe coraz powszechniej wykonywane są przez maszyny, a człowiek usiłuje przedzierzgnąć się z robotnika w nadzorcę i urzędnika. Chłop, robotnik rolny, taki, jakim go widzimy na starym lądzie, również znikać zaczyna i w wielu okolicach Stanów Zjednoczonych stał się już zabytkiem archeologicznym. Orka, pielenie, koszenie, żęcie, wykonywane są w Ameryce z wygodnego kozła przy kierowaniu zaprzęgiem, jest to niemal zajęcie gentlemena i tamtejsi rolnicy często noszą jego ubiór, zanim przyswoją sobie jego sposób obejścia i poglądy. Umysły ich bowiem są rozbudzone i chętnie przyjmują wszelkie postępy cywilizacyjnej kultury.

To też Stany Zjednoczone stoją dziś na czele postępu społecznego, tak jak i postępu mechaniki, oba zjawiska są bardziej z sobą złączone, niż to ogólnie przypuszczamy, drugie bowiem jest następstwem pierwszego, a z kolei oddziaływa nań wzajemnie. Nikt też nie zdoła przewidzieć ściśle, do jakich przekształceń społecznych doprowadzi nas skombinowany wpływ tych dwóch potęg!

Należy nam przeto odzwyczajać się od starych form społecznych, tak samo jak zaczynamy odwykać od starych maszyn ręcznych. Wszystko to bo-

wiem należy do przeszłości, oddalającej się coraz bardziej, aby już nigdy nie powrócić.

Gdy świat tak kroczy zwycięzko do nowych przeznaczeń, p. Bourgeois, który przecież nie jest lada kim i chce uchodzić za przewodcę stronnictwa postępowego we Francyi, proponuje nam, jako wielki wynalazek, powrót do teoryi społecznej najstarszej, najbardziej zużytej, zawodnej i uciskającej. Trzeba doprawdy nie mieć głowy do pomysłów!

ROZDZIAŁ V.

Jaki ustrój społeczny najbardziej sprzyja szczęściu?

Sir John Lubbock, który już poprzednio wydał książkę p. t. „Szczęście życia“ (*Le bonheur de vivre*), ogłosił znowu niedawno drugi tom pod tymże samym tytułem. Wziętość i nadzwyczajne powodzenie, jakie to dzieło pozyskało w Anglii, dostatecznie chyba uwydatnia okoliczność, iż tom pierwszy tłómaczony był z dwudziestego wydania, a drugi z siedemdziesiątego siódmego.

Możnaby przypuścić, że autor odkrył tajemnicę szczęścia i za kilka szylingów ofiaruje je swoim czytelnikom. Gdyby tak było, trzeba by przyznać, iż Anglików nie trudno zadowolnić, bo wistocie książka ta jest tylko zbiorem sentencyj i cytat z rozmaitych dzieł znanych pisarzy, któremi p. Lubbock przekonywa, że człowiek powinien być bardzo zadowolonym z tego, że żyje.

Uzasadniając swoją tezę, sir John Lubbock czyni przegląd wszystkich źródeł szczęścia, jakie człowiek w otoczeniu swoim spotyka: zadowolenie ze spełnionego obowiązku, przyjemność czytania arcy-

dziel, jakie wydały umysły ludzkie, dobrodziejstwo przyjaźni, przyjemności podróży, ogniska domowego—rozkosze, jakie dają nauki, miłość, sztuka, poezya, muzyka, piękności natury i t. d.

Od początku do końca cała książka tchnie takim optymizmem, iż poprostu rozbraja czytelnika. Pisze np. sir Lubbock: „Słyszałem wiele o niewdzięczności i samolubstwie na świecie, lecz sam nigdy nie doznałem tych klęsk okrutnych, a zawdzięczam to może swemu dobremu losowi.“ Zdanie to jest istotnie naiwne, a przynajmniej niepowszednie! Niemniej niezwykle jest i następane:

„W rzeczywistości jesteśmy bogatsi, niż sądzimy, choć słyszymy tak dużo o chciwości posiadania. Wielcy właściciele dóbr bywają przedmiotem zazdrości, gdyż posiadanie wielkich obszarów ziemi uważane jest za wielkie szczęście. Często jednak—jak powiada Emerson—ziemia posiadana opanowuje swego właściciela. Zresztą, czyż w podniosłym znaczeniu nie posiadamy milionów włók? A ogrody publiczne, a drogi, brzeg morski, rozległe i tak urozmaicone nasze wybrzeża, czyż to wszystko nie jest naszą wspólną własnością? Jesteśmy więc posiadaczami wielkich obszarów, nie wiedząc o tem (!!). Nie ziemi nam brak, ale zdolności do rozkoszowania się nią, a własność ta jeszcze i ten ma przywilej, iż nie narzuca nam żadnej pracy i nie wymaga uciążliwego zarządu. Właściciel dóbr miewa często wiele kłopotów, lecz krajobraz należy do każdego, który nań patrzy. Kingsley nazywał zarośla, otaczające Eversley, „swoim ogrodem zimowym“, nie dlatego, aby prawnie miały być jego własnością, lecz w znaczeniu idealnym, w którym tysiące osób mogą posiadać ten sam przedmiot.“

Cała książka przejęta jest równie niezachwianym optymizmem i opiera się na argumentach tej miary, jak wyżej przytoczone. Oczywiście nie to

słabe i banalne rozumowanie tak podobało się czytelnikom anglo-saksońskim i spowodowało powodzenie książki. Z drugiej strony ciekawą jest rzeczą, czemu przypisać należy zupełny brak zainteresowania się tem dziełem z drugiej strony cieśniny Kaletańskiej i dlaczego rozumowania te i nagromadzone cytaty wywołują u Francuzów tylko uśmiech pobłażliwy? Aby to jednak wyjaśnić, trzeba nieco gruntowniej zgłębić tę wielką a odwieczną kwestyę—szczęścia, niż to uczynił sir Lubbock w swoim dziele.

I.

Najprzód należy określić ściśle znaczenie wyrazu szczęście. Tem określeniem oznaczać będziemy stan zadowolenia ludzi, którym udaje się pokonywać trudności materyalne i moralne życia. A słowa „materyalne i moralne“ obejmują zadowolenie dwóch wielkich grup potrzeb ludzkości, mianowicie potrzeby ciała i duszy, słowem całości istoty ludzkiej.

Następnie musimy określić właściwe znaczenie niektórych czynników, uważanych przez wiele osób za wyłączne źródła szczęścia, jak np. charakter, zdrowie, majątek, religia i t. d!

Tak zwany *dobry charakter* skłania do zapatrywania się na wszystko „z dobrej strony“, a więc do tworzenia sobie złudzeń, gdyż w istocie rzeczy mają nietylko strony dodatnie. Najupartsze złudzenia muszą mieć jednak granice, a w każdym razie zmienić nie mogą w niczem okrutnej rzeczywistości. Gdy więc staje się zbyt dojmująca, złudzenia pierzchają, a następuje zawód bolesny. Ludzenie się bowiem nie usuwa złego.

Zdrowie oszczędza nam bólu fizycznego, czyni zdatnymi do pracy, aby zapewnić sobie utrzymanie, odzienie i dach nad głową, lecz jest to dopiero zdolność, która może nie być spożytkowaną. To też ciesząc się np. bardzo dobrem zdrowiem, można jednak znaleźć się w nędzy, która nie warunkuje szczęścia.

Z drugiej strony wiele osób poczytuje *majątek* za główną podstawę szczęścia. Istotnie, majątek uwalnia od trosk o chleb powszedni, ułatwia *natychniastowe* pokonanie licznych trudności *materyalnych* w życiu. Korzyści to nader ważne. Natomiast majątek nie dopomaga wcale do zwalczania *moralnych* trudności, gdyż zazwyczaj osłabia odwagę, wolę i energię. Zresztą jednym ze źródeł szczęścia jest nadzieja i wyczekiwanie pożądaných przedmiotów. Posiadanie bowiem ujmuje upragnionemu przedmiotowi dużo uroku. Majątek usuwa to oczekiwanie i nadzieję, pozwalając na zadowolenie *natychniastowe*, które rychło sprowadza przesyt. Dlatego to ludzie bogaci tak nieustannie i mozolnie wyszukują nowych zabaw i rozrywek, ponieważ nużą się nimi szybko. Bogactwo wywołuje przesyt i znudzenie, a człowiek znudzony nie odczuwa zadowolenia z życia, bo niczem się nie interesuje i nic go nie zajmuje. Przecenianie rozkoszy, jaką rzekomo ma zapewnić majątek, pochodzi z tego, iż patrzymy na bogactwo przez pryzmat biedy lub mierności wówczas, gdy należy zgłębić je w niem samym, aby osądzić, ile jest rzeczywiście warte i przekonać się, że wartość ta pod wielu względami jest nieznaną. Nieznaną nawet w stosunku do załatwiania *materyalnych* wymagań życia, choć to twierdzenie wydaje się na pozór dziwaczne. Zbytek jednak i pogoń za rozrywkami pociąga wydatki, które nieraz przekraczają dochody, niepowiększane przez pracę. Przywyka się do wydawania pieniędzy bez rachun-

ku, a odwyka od pracy: niema zatem równowagi i to tworzy w budżetach rodzinnych szczelinę, przez którą przesuwiają się największe majątki. Upadek materialny rozpoczyna się w drugim lub trzecim pokoleniu i postępuje szybko, bo rodziny te straciły zdolność do dźwignięcia się nawet materialnie. Gdy raz nawyk do pracy i wytrwałości stracony został, nie odzyskuje się ich łatwo. Taką jest historia naszej szlachty i bogatego mieszczaństwa; historia odwieczna.

W gruncie rzeczy do pokonywania moralnych materialnych utrudnień życia ubóstwo okazuje się czynnikiem potężniejszym od bogactwa, bo dzielniej podnieca do wysiłku energię i samorzutność.

Religia wreszcie, według niektórych, wystarcza do uszczęśliwienia człowieka. Zaprzeczyć temu niepodobna, iż dopomaga ona bardzo skutecznie do zwalczania trudności moralnych, lecz, jeśli człowiek nie posiada wrodzonych zdolności do czynu, to przedstawia mu tylko jako jedyny ratunek rezygnację i zgodzenie się z wolą Boską. Rezygnacja zaś odnosi się tylko do rzeczy przykrych, a zatem przyznaje, że życie nie jest miłe. W istocie też religia nakazuje uważać życie za próbę, którą należy wytrzymać odważnie, gdyż ziemia jest padolem płaczu, a szczęście nie jest z tego świata. Zadaniem zaś istotnym i bezpośrednim religii nie jest zapewnienie szczęścia na tym świecie, lecz na tamtym i nie rachuje się ona z czasem, ale z wiecznością. Jest to zapewne nieskończenie wyższe, lecz nie zajmujemy się w tej chwili tą kwestyą, tylko badaniem warunków szczęścia ziemskiego. Piszę bowiem studyum socjologiczne, a nie teologiczne.

Trzeba również przyznać, że są osoby, które paczą i źle zastosowują zasadę rezygnacyi, bo zasłaniają się nią, aby uniknąć wysiłku przykrego dla swego lenistwa i powiadając, iż życie nie jest warte,

aby ponosić dla niego tyle trudu, polegają wyłącznie na Opatrzności, która nie opuszcza swoich wiernych. Zapominają przytem, że powiedzianem jest: „Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże“, bo uważają za rzecz wygodniejszą dla siebie pozostawić wszelki trud Opatrzności.

Przy takim nastroju umysłu człowiek jest słabym wobec materyalnych i moralnych trudności życia. Złe pojęta religia zamiast być pomocą, może stać się przyczyną niedołęstwa. Na pociechę powtarzamy najczęściej: „Bóg zsyła próby“, lub „Dzieci ciemności są chytrzejsze od dzieci światła.“ Wygodny to sposób składania na Pana Boga swoich win i omyłek.

Widzimy zatem, że wszystkie omawiane czynniki nie zdołają zapewnić szczęścia, lecz tylko przyczynić się mogą do niego w pewnej mierze, stosownie do warunków danego środowiska. Musimy zatem zbadać, w czym właściwie środowisko społeczne mniej lub więcej sprzyja rozwojowi szczęścia, t. j. zadowoleniu ludzi, którym udaje się pokonywać moralne i materyalne utrudnienia w życiu.

Z tego punktu obserwując różne typy ustrojów społecznych, dojdziemy rychło do przekonania, iż wpływają one w sposób bardzo różnorodny na szczęście składających je jednostek. Już na pierwszy rzut oka podzielić je można na trzy odrębne grupy:

1-o Ustroje społeczne, sprzyjające szczęściu przez ułatwianie życia.

2-o Te, które przeszkadzają szczęściu, utrudniając życie.

3-o Wreszcie, ułatwiające osiągnięcie szczęścia mimo trudności życia.

Rozpatrzmy teraz, co się ukrywa pod temi, nieco zagadkowemi formułami.

II.

Przysłowie, „że szczęśliwe narody nie mają historii“—potwierdza nauka.

Jakież to bowiem narody nie mają historii?—Przedewszystkiem te, które żyją produktami naturalnymi, jak np. pasterze, koczujący na żyznych stepach. Dzięki niewyczerpanej obfitości trawy, nie potrzebują zajmować się żadną inną pracą zarobkową. Tatarzy mongolscy stanowią najbardziej charakterystyczną odmianę tego typu, bo już pasterze ze stepów pustyni Arabii i Sahary zmuszeni są dopełniać dodatkowymi zajęciami niedostateczność tych korzyści, jakie im daje pasterstwo, i wskutek tego trudnią się przewozem i wyrobem różnych przedmiotów.

Dla pasterzy zarówno moralne, jak i materialne trudności są znacznie zmniejszone. Zabiegi o dostanie pożywienia i ubrania wymagają bardzo mało trudu, albowiem stada dostarczają wszystkiego i nie wymagają troski o ich wyżywienie.

Na całej powierzchni kuli ziemskiej pasterze też najmniej pracują i najmniej przeszkód do pokonania mają. Nieznana im jest codzienna, przyniatająca nas ogólnie troska o środki utrzymania. Trawa, należąca do wszystkich i której ani kosić, ani przechowywać nie trzeba, stanowi podstawę bytu i wystarcza zupełnie.

Plemionom koczowniczym pasterzy nieznana jest kwestya robotnicza, bo robotników najemnych niema wśród nich, niema też ani pauperyzmu, ani nędzy wcale. Pasterz, mając tak ułatwioną materialną stronę życia, moralnych trudności również nie doświadcza.

Nie trzeba bowiem sądzić go według skali naszych potrzeb, pragnień i dążeń, rozwiniętych pod wpływem zupełnie innej ewolucyi społecznej, a któ-

rych pasterz nie odczuwa. Niezaspokojenie potrzeb, które wytworzyliśmy sobie, a które raczej wytworzyło nam nasze środowisko społeczne, czyni nas nieszczęśliwymi, a kiedy uda nam się zadowolić, to wnet wyradzają się nowe pragnienia, coraz więcej skomplikowane wskutek tego i do osiągnięcia trudne.

Wprawdzie powiadają, iż „szczęście polega na ograniczaniu swoich pragnień“ i należy „zadawalniać się szczęśliwą miernością“ (*aurea mediocritas*). Bardzo to piękne zdania, lecz nasz ustroj społeczny popycha nas w stronę wręcz przeciwną i co chwila sprowadza z drogi umiarkowania, zalecanego dlatego właśnie, że bywa tam rzadkiem zjawiskiem.

Niezaprzeczoną dowodem, iż pasterze są *z losu swego zadowoleni* (co wistocie jest ostatnim wyrazem szczęścia), jest ich niechęć do zmiany trybu życia. Najtrudniejszą bowiem przemianą społeczną okazała się i okazuje dotąd nakłonienie właśnie pasterzy do porzucenia koczownictwa i osiedlenia się na stałe, zamieniając pasterstwo na uprawę roli, oraz inne zajęcia, któremi my „zarabiamy“ na utrzymanie nasze. Narody cywilizowane, sąsiadujące z plemionami koczowniczymi, wiedzą coś o tem, gdyż przeprowadzać tę ewolucję musiały w niektórych miejscowościach, gdzie im się to powiodło pod wielkim przymusem. Nprz., kilka wieków trzeba było, aby Słowianie ewolucję tę przebyli i to jeszcze niezupełnie, gdyż kultura ich pozostawia bardzo wiele do życzenia i o ile mogą, chętnie trudnią się pasterstwem, zamożność zaś swoją oceniając nie rozmiarem pól, które uprawiają, ale liczbą stad hodowanych.

Już starożytni zdawali sobie sprawę ze szczęścia, jakiego doznają ludności pasterskie; Homer, a po nim Ephore, nazywa je „najsprawiedliwszymi z ludzi.“ „Koczujący ci ludzie, cnotliwi są i sprawiedliwi“—powiada Choeritus. „Prowadzą życie bardzo

skromne i nie ubiegają się wcale o bogactwa“—pisze Strabon. Współcześni podróżnicy również wygłaszają podobne zdania, np. p. Huc, który przeżył dwa lata wśród Mongołów, tak się o nich wyraża: „Dobrzy Mongołowie są niezmiernie religijni i nieustannie zajęci przyszłym życiem, lekceważą ziemskie sprawy i żyją tak, jakby nie na tym świecie¹⁾).

Koczujący pasterz stanowi też doskonały typ człowieka, umiającego ograniczać swe pragnienia i widzącego szczęście w mierności, nawet nie pozłacanej. Podstawą zaś tego szczęścia są materialne warunki środowiska, zaspakajające i ułatwiające potrzeby życia. Do tych ułatwień przyczynia się także i konieczność wspólnego pożycia rodzin, liczących nieraz po kilkuset członków, jak ongi rodziny patoryarchów biblijnych²⁾).

Człowiek przeto nie jest tam nigdy osamotniony, a wszyscy opierają się na pomocy wzajemnej, która w pewnej mierze zabezpiecza od klęsk losu. Niedolężni, nieprzezorni i słabi nie bywają tam pozostawieni sobie, ani narażeni na walki nad ich siły, jak się to, niestety, zbyt często dzieje w naszym ustroju społecznym.

W tej pierwszej grupie społecznych ustrojów człowiek jest zatem podtrzymywany przez niewyczerpane bogactwo gruntów, oraz wspólność rodzinną. Dzięki tym dwóm podporom, czuje się szczęśliwy i nie pragnie wcale zmieniać trybu życia.

Po za obrębem strefy stepowej spotykamy jeszcze rozmaite ludności, które korzystają, choć w mniejszym już stopniu, z naturalnych bogactw

¹⁾ Podróż po Tartaryi.

²⁾ W *Science sociale* wyjaśnione zostały przyczyny, wywołujące konieczność wspólnego pożycia rodzin w koczowniczym życiu pasterskim.

ziemi, oraz wspólności rodzinnej. Stosownie więc do urodzajności swej gleby, narody te są lepiej lub gorzej uposażone w środki utrzymania, a skutkiem tego i zabezpieczone od nieszczęść, wypływających z niezaspokojonych potrzeb materyalnych człowieka. Stanowią też przejściowe ogniwa w łańcuchu urządzeń społecznych, od trybu życia pasterskiego do drugiej grupy ustrojów społecznych, o których teraz pomówimy.

III.

W ustrojach społecznych, które zaliczyłem do grupy drugiej, braknie obu tych podpór, zapewniających szczęście pasterzy, t. j. naturalnych produktów ziemi i wspólności rodzinnej. Człowiek znajduje się tu wobec podwójnych trudności życia, a zamiast dążyć do ich zwalczenia, usiłuje koniecznie ich tylko unikać, skierowując do tego celu wszystkie swoje starania.

Dlaczego jednak tak pragnie unikać ich, a nie pokonać? Bo — odpowiedzą niektórzy — w naturze człowieka leży niechęć do ponoszenia trudu. Z pewnością, ale trzeba by jeszcze wyjaśnić, czemu wychowanie i konieczność nie zdołały przytłumić tej skłonności naturalnej. Nauki społeczne również wykazały, iż narody o takim ustroju, zaludniające znaczną przestrzeń kuli ziemskiej, a w tem część Europy zachodniej, w odległej przeszłości miały przodków, którzy, korzystając z mniej więcej obfitych produktów naturalnych, żyli także w ustroju zbiorowym. Właściwie zatem typ obecny jest przedłużeniem typu zbiorowego na gruncie, nic już nie wydającym bez pracy ludzkiej.

Wystawmy sobie teraz położenie człowieka, który nawykł albo korzystać z darów hojnej przyrody, albo z pomocy zbiorowej; gdy te dwie podpory utraci i znajdzie się w konieczności zabrania się do uciążliwej i twardej pracy na swe utrzymanie, nieublagana potrzeba woła na niego: „Pracuj, bądź energiczny, zapobiegliwy, dźwigaj się własnymi siłami, to najlepszy sposób zwalczania trudności życia, a zatem i osiągnięcia szczęścia.“ Dziedziczny nawyk znowu odpowiada: „Praca, wysiłek, energia, są to rzeczy wcale nieprzyjemne, których lepiej jest unikać i tym sposobem pozyskać szczęście“. Dziewięć razy na dziesięć głos dziedziczności okazuje się silniejszy, gdyż oddziałują na jedną z najczulszych strun człowieka: zakorzenionego przyzwyczajenia i to przyzwyczajenia przyjemnego. W jaki sposób jednak unikać tych przykrych konieczności życia? Naturalnie odwiecznym systemem szukania pomocy u innych, życia ich kosztem i wyzyskiem, t. j. zawsze i ciągle wymagając pomocy i poparcia od zbiorowości.

W taki sposób również zachowuje się truteń względem pszczoły.

Czyż bowiem nie jest społecznym trutniem młody człowiek, który, mając lat dwadzieścia i ciesząc się dobrem zdrowiem i siłą, żyje kosztem utrzymującej go rodziny, a doszedłszy do trzydziestki, żeni się z majątkiem i tym sposobem idzie na utrzymanie żony; gdy atoli mu się to nie uda i zmuszony jest do pracy, unika zawodów niezależnych, uważając za godne siebie tylko kariery urzędnicze, uwalniające go od wysiłku, inicjatywy i ryzyka, bo budżet państwowy zapewnia mu utrzymanie.

Takim samym trutniem jest i mieszczanin i robotnik, którzy usunięcia trudności życia wyczekują od zbiorowości—gminy lub państwa—i zwracają się do nich o pomoc, aby żyć także kosztem budżetu.

Tembardziej zaś należy do trutni i ów polityk, wyzyskujący głupotę ludzką, obiecując wszystko, o czym kto zamarzy, byle pozyskać utrzymanie od owej zbiorowości, którą oszukując, rujnuje.

Jakże łatwo zrozumieć, że w takim środowisku właśnie powstał socjalizm, gdyż przynosi on zachwycającą obietnicę takiego ustroju społecznego, w którym wszyscy będą należeli do kategorii trutni społecznych. Nieszczęściem jest atoli dla tej ponętnej perspektywy, że trutnie bez pszczół istnieć nie mogą; więc gdy liczba pierwszych ma być zwiększoną, to suma pracy drugich koniecznie wzrosnąć musi.

Fatalność, prawdziwie godna pożałowania, gdyż byłoby niezmiernie przyjemnie żyć sobie kosztem zbiorowości. Znajdą się może zwolennicy, którzy jednak twierdzić nie przestaną, że taki stan rzeczy im się podoba, a cała kwestya w tem, aby wcisnąć się w szereg owych trutni, bo być trutniem znaczy: być szczęśliwym.

Niestety jednak, fakty nie wykazują wcale, aby ten ustrój społeczny sprzyjał istotnie rozwojowi szczęścia. Zbyt bowiem trudne już staje się do rozwiązania zadanie znalezienia szczęścia, dając jaknajmniej pracy w społeczeństwie, które wymaga najwyższej sumy pracy od swoich obywateli. Przypomina to niewygodną pozycję człowieka, zmuszonego co dzień, co godzina płynąć przeciw prądowi. Wszystko bowiem podąża w kierunku przeciwnym, co mu wcale do osiągnięcia szczęścia nie pomaga.

Wielu z tych nawet, którym udało się otrzymać jakiś urząd, nie jest zupełnie zabezpieczonych od ciężkich kłopotów materialnych. Większość ich bowiem zmuszona jest wieść życie pełne wyrzeczeń się i ofiar, aby z niedostatecznego wynagrodzenia utrzymać się i wychować rodzinę. Często jest to mędrza „w czarnym surducie“, prawdziwa i ciężka,

bo brak jest środków na odpowiednie do „stanowiska“ utrzymanie, a to przysparza wiele dojmujących cierpień codziennych, nieosłodzonych żadnymi widokami znaczniejszej z czasem poprawy warunków bytu. Pomimo tego wszakże życie wydaje się jeszcze cięższe kandydatom, którzy nie zdołali docisnąć się do urzędów. Odczuwają przykrości pracy osobistej tem dotkliwiej, im gorzej ich do niej przygotowało wychowanie, a także i dlatego, że ten rodzaj zajęć jest przez nich uważany za ostateczność, której chwytają się dopiero, gdy usiłowania ich i nadzieje co do kariery urzędniczej—zostaną zawiedzione.

Zresztą życie w tych warunkach staje się wogóle ciężarem, coraz trudniejszym do zniesienia. Wpływ tradycyi ustroju zbiorowego czyni majątki własnością rodzinną, a nie osobistą, rodzice więc uważają za obowiązek wyzucić się z niego za życia, aby wyposażyć dzieci, gdy w związki małżeńskie wstępują. Zobowiązuje ich to do uzbierania w ciągu lat kilkunastu tyle majątków, ile mają dzieci, aczkolwiek żyjemy w czasach, kiedy tak trudno zdobyć osobisty majątek.

Zdobycie przeto tylu majątków dla dzieci okazało się niewykonalne i nie znaleźliśmy innego środka zaradczego, jak ograniczenie liczby dzieci. Wyposażamy więc je kosztem liczebności narodu, a pomimo to, wyposażanie jest wciąż zbyt uciążliwe, bo skazuje nas na mnóstwo wyrzeczeń się i bardzo drobiazgowo oszczędności, zatruwające nam życie i pozbawiające nas szczęścia.

Nie więc dziwnego, że ogólne niezadowolenie występuje w bardzo znaczących objawach. Ograniczę się na wskazaniu tu tylko czterech, odpowiadających czterem okresom ewolucyi społeczeństw, rozmyślnie wybranych z różnych stron świata.

Pierwszy z tych przejawów stanowi rozczarowanie

wanie ludności indyjskiej, uwydatniające się w słynnej doktrynie Nirwany. Rozpowszechniła się ona z wielką szybkością wśród mieszkańców, sąsiadujących z krainą produktów naturalnych, ale i z nich nie korzystających. Nirwana jest wyzwoleniem i zbawieniem, słowem szczęściem, obiecywanem ludzkości przez założyciela buddyzmu. Na czym więc owo szczęście ma polegać? Oto na uniknięciu mało pojętej perspektywy drugiego życia, podobnego pierwszemu, oraz wyzwoleniu się z pod prawa transmigracji ducha wskutek przejścia do stanu bezwzględnej nieświadomości. Jednym ze sposobów dojścia do tego uszczęśliwienia jest ciągłe rozmyślanie, a raczej nawyk do najzupełniejszej bierności i unikanie wszelkiego czynu, aż do wyrzeczenia się życia, a przeto i szczęścia na tym świecie. Człowiek, zwątpiwszy w możliwość pozyskania szczęścia, szuka ucieczki w nicości. Nie próbuje nawet walczyć z trudnościami życia, lecz kapituluje odrazu i nieodwołalnie.

Niezadowolenie, nurtujące społeczeństwa zachodnie o mniej więcej zbiorowym ustroju, uwydatnia się znowu w socyalizmie. Ustrój ten bowiem sprzyja, jak to już wyżej powiedziałem, rozwojowi tej doktryny, nakazującej szukać szczęścia w zniweczeniu osobistego wysiłku, oraz inicjatywy indywidualnej¹⁾. W każdym razie, zarówno jak poprze-

¹⁾ Warto przeczytać gwałtowne wystąpienie pana Lafargue'a przeciw pracy, zatytułowane *Prawo do lenistwa*. Pisze on z początku: „Dziwny obłęd ogarnął klasy robotnicze w krajach kapitalistycznych. Obłęd, który pociąga za sobą wiele nędz indywidualnych i społecznych od dwóch wieków toczących smutną ludzkość. Tym obłędem jest zamiłowanie pracy. W społeczeństwach kapitalistycznych praca jest przyczyną zwyrodnienia umysłowego i fizycznego”. Podnosząc zaś wyższość odpoczynku nad pracą, autor cytuje przysłowie hiszpańskie: *Descanzar es salud* (odpoczynek jest zdrowiem) (Przyp. autora).

dnie i ta doktryna świadczy o głębokiem rozczarowaniu ludzi, którzy nie znaleźli szczęścia w obecnych warunkach bytu.

Zmuszony do ograniczania swoich wywodów, wskażę już tylko jeden objaw niezadowolenia z życia, objaw, rozpowszechniony wśród klas oświeconych Zachodu, a mianowicie: pesymizm. Określeniem tem obejmuję cały szereg doktryn, mniej lub więcej filozoficznych, elegijnych i łzawych, które przeważają w grupach niemieckich i celtyckich, tworząc podstawę ich pojęć o życiu. Grecy i Włosi zapatrują się już mniej tragicznie na ziemskie sprawy, a filozofia ich również nie jest tak ponura. Pouchajacem jest wszakże, iż ta różnica potwierdza tylko zasadę, której słuszności dowodzę. Ludy te bowiem zamieszkują podniebia, kędy jeszcze ważną gałęzią produkcji są owoce drzew, wymagające tylko zbioru. Część ludności przeto żyje ze zrywania i zbierania tych owoców z bardzo małym wysiłkiem trudu. *Deus nobis haec ota fecit*. Lazon stanowi typ wybitny tej grupy ludności. Mieszkańcy zaś wybrzeży morza Śródziemnego wogóle zaliczają się jeszcze w pewnym stopniu do ludów, widzących w znacznej mierze szczęście w naturalnych ułatwieniach życia.

IV.

Napozór szczęście zdaje się najmniej pewnem w trzeciej grupie ustrojów społecznych, dążących do zdobycia szczęścia, pomimo utrudnień życia, a jednak wistocie w tych to społeczeństwach stosunkowo najpomyślniejsze osiągnięto wyniki. Dotąd obser-

wowaliśmy ludzi, szukających szczęścia w spoczynku lub przynajmniej najmniejszej sumie wykonanej pracy. W pierwszym wypadku znajdują je, lecz tylko szczęście gnuśne, bezbarwne i strupieszale, w drugim zaś okazuje się ono zgoła niedostępne.

Inaczej postępuje człowiek z trzeciej grupy ustrojów społecznych. Zdobywa szczęście energią i wytrwałością, nie próbuje wymijać trudności życia, lecz stawia im czoło odważnie, mierzy je trzeźwym okiem i walczy z nimi uporczywie.]

Z początku—myśl, że można szukać, a co więcej, znaleźć szczęście w wysiłku i pracy, wydaje się ironią gorzką lub urojeniem. Gdybym sąd swój opierał na tem, co odczuwam i czego sam doznaję, podzielałbym nawet pogląd powyższy. Czuję się bowiem skłonniejszy do odpoczynku, niż do pracy; ciąga mnie też więcej to, co jest łatwe, niż to, co wymaga znaczniejszego trudu, a gdyby mnie nieco przycisnęto, pogodziłbym się może nawet ze spokojnem, choć nieco wegetacyjnem życiem pasterskiem. Tu jednak w grę nie wchodzi osobiste odczuwanie i poglądy czytelników, lub moje, lecz należy nam obiektywnie stwierdzić fakty i zdać sobie z nich możliwie najbezstronniej sprawę.

Aczkolwiek ten sposób pozyskania szczęścia zdaje się dla nas na razie niezwykłym, jednak po głębszem zastanowieniu się zaczyna być zrozumiałszy. Dlaczego usiłujemy ominąć trudności życia? Naturalnie dlatego, iż pokonanie ich przedstawia się nam jako zadanie zbyt dla nas ciężkie.

Gdyby np. zażądano odemnie, abym odbył bieg 100 kilometrów na bicyklu (biorę ten przykład z pośród wielu innych), odmówiłbym stanowczo, bo nie czuję się zdolny do tak męczącej wycieczki. Mnóstwo osób jednak zgodziłoby się z przyjemnością na taką

propozycję, gdyż są dostatecznie wyćwiczone w jeździe na kołowcu. To więc, co dla mnie byłoby trudnością nie do zwalczenia i rzeczą niezmiernie przykrą, byłoby dla tamtych przyjemnością i zabawką. Tak samo dzieje się i z utrudnieniami w życiu; są one nie dopokonania dla tych, którzy nie zostali odpowiednio przygotowani, aby im stawić czoło i poddać; możliwe jest jednak, że dla posiadających to niezbędne przygotowanie, walka o byt staje się także rodzajem sportu, niepozbawionym uroku. Jeżeli tak, to chyba tych zuchów nirwana, nihilizm, socjalizm i pesymizm nie pociągają wcale.

Ci bowiem patrzą na życie przez przeciwległe szkła lornetki, a skutkiem tego przedstawia im się ono zupełnie odmiennie i w pięknych kolorach; coż więc dziwnego, że stają się optymistami? Pytanie, czy tylko istotnie tacy ludzie istnieją na świecie?

Czytelnicy, którzy łaskawie zapoznali się z poprzednimi rozdziałami niniejszej książki, wiedzą dobrze, iż taki gatunek ludzi istnieje rzeczywiście; chciałbym jednak wykazać jeszcze, bo o tem dotąd mowy nie było, że urząd społeczny, który zapewnia przewagę na świecie, zarazem dozwala ludziom osiągnąć stosunkowo największe szczęście na ziemi dostępne przy równych naturalnie warunkach, jak mówią matematycy.

Opisywałem wyżej ¹⁾ typ szkoły angielskiej, której głównym celem jest wykształcać ludzi zdolnych do dawania sobie rady samodzielnie w życiu. Wyrabiają też one głównie w wychowancach energię, wolę, wytrwałość, a ciało hartowane jest narówni z charakterem i umysłem. W *Science sociale* pp. Roussier i Bureau zdawali również sprawozdania z po-

¹⁾ Księga I rozdział III.

dobnych systemów wychowawczych, stosowanych bądź w Anglii, bądź w Stanach Zjednoczonych. Młodzież, wychowywana według takich zasad przez rodzinę, szkołę i wpływy środowiska społecznego, nabiera przekonania, że „człowiek, jak kot, powinien zawsze upaść na nogi.“ To też młodzież ta nie szuka wypoczynku i bezczynności, lecz bierze się energicznie do samodzielnej pracy o własnych siłach, *self help*, dążąc ustawicznie naprzód, „*go ahead*,“ w walce o byt *struggle for life*. Nie obawia się tych hasel, jak nie lęka się treści, które one oznaczają, a to dlatego, że ustrój społeczny czyni ich zdolnymi do pokonywania trudności, przez życie nastęrczanych.

Faktem jest, iż groźna anglo-saksońska rasa wyparła nas z wielu pozycyj, które zajmowaliśmy poprzednio. Przed stu jeszcze laty cieszyliśmy się np. przewagą w Azji, w Afryce i w Ameryce; obecnie wszędzie musieliśmy się cofnąć przed naporem tej rasy, będącej naszą odwieczną współzawodniczką i na jej to postępkach wzorować się nam należy. Powtarzając to, przemawiamy nietylko jako ludzie nauki, którzy zdają sobie dokładnie sprawę z istotnej treści rzeczy, ale także i jako przezorni patryoci.

Na razie jednak celem moim jest tylko udowodnienie, że ten sposób pojmowania i postępowania w życiu daje więcej szczęścia już przez samo poczucie swej wyższości i świadomości, tak jak łatwo przychodzi energicznemu człowiekowi pokonać różnorodne trudności życia.

Przytoczę tu przykład dość ciekawy, a zarazem oryginalny, opisany w *Le Temps* przez p. de Varny.

„W końcu stycznia—pisze on—zebrało się na wesołej kolacyi w eleganckiej restauracyi Bostonu grono młodzieży z *najlepszego towarzystwa*, przeważnie studentów, którzy świeżo ukończyli uniwersytet

Harward, gdzie odznaczyli się zarówno przy egzaminach klasycznych, jak i w różnego rodzaju ćwiczeniach sportowych.

„Jeden z biesiadników wyraził zdanie, iż „w Stanach Zjednoczonych ci tylko pozostają biednymi, którzy zwątpili o sobie, a gdyby on utracił majątek, pozostawiony przez ojca, to, choćby mu przyszło rozpoczynać życie bez grosza, a nawet być nagim jak noworodek, zdołałby dać sobie radę i po roku wróciłby z podróży naokoło świata nie tylko opłaciwszy jej koszty, ale zebrawszy jeszcze 5,000 dolarów (25 tysięcy franków) oszczędności.“ Zdanie to wywołało zakład o 50,000 franków i ułożono, że dnia 22 lutego Paweł Iones uda się do kąpieli tureckich Stowarzyszenia atletów, tam zdejmie ubranie i rozpocznie awanturniczą podróż naokoło świata.

„Najtrudniejsze zadanie było udać się w drogę. Nagi jak robak, Paweł Iones, nie mógł opuścić lokalu kąpielowego, musiał więc przedewszystkiem postarać się o najskromniejszą odzież. Uwięziony w kąpielowej sali, zaczął Iones od czyszczenia butów członkom klubu, a drobne wynagrodzenie za czynność tę otrzymywane dozwoliło mu opłacić swoją żywność, a następnie nabyć niezbędną odzież. Zabrało mu to jednak dwa tygodnie czasu — co względnie do ustanowionego terminu było bardzo wiele. Wydostawszy się na świat, Iones sprzedawał dzienniki, był posłańcem i tłumaczem zarazem, ponieważ znał języki: niemiecki, francuski i włoski, aby zdobyć fundusz na podróż do Londynu, skąd miał zamiar odpłynąć do Indyi. Jako tłumacz otrzymał darmo przejazd na parowcu do Londynu, dokąd przybył, mając 40 dolarów (250 franków) w kieszeni. Był na dobrej drodze, trudności największe już pokonał, odtąd szło mu już coraz łatwiej: odczyty, które miał w Londynie, zwiększyły jego zasób pieniężny, umowy, zawarte z dziennikami angielskimi pokryły wydatki

podróży do Indyi, a dobrze dobrany zapas towarów, z korzyścią sprzedanych w Kalkucie, przyniósł mu kwotę tak znaczną, że w listach do przyjaciół wyrażał żal, iż nie podwoił sumy zakładu, choćby mu przyszło również podwoić kwotę oszczędności, którą ma przywieźć.“

Laury tego amerykańskiego *self made man'a* (człowieka, który sam się dźwignął) wzbudziły zazdrość Anglików, bo w jakiś czas potem *Petit Journal* donosił nam o dwóch Anglikach, którzy, aby wykazać, że John Bull nie ustępuje wcale Jonathanowi pod względem zaradności i dzielności, w tych samych warunkach odbywają podróż po Francyi, czyniwszy zakład podobny.

Na początku tego rozdziału zaznaczyłem, że pod określeniem „szczęście“ rozumieć będę: zadowolenie ludzi, którym udaje się pokonywać moralne i materialne trudności życia. Wynika z tego, iż urząd społeczny, wyrabiający w człowieku w wyższym stopniu zdolności do zwalczania tych trudności, uważać trzeba za bardzo sprzyjający rozwojowi szczęścia. Nie wiem, czy tym trzem młodym ludziom udało się wygrać w końcu owe zakłady, ale nie na tem też polega kwestya. Rysem bowiem charakterystycznym jest tu nastrój umysłu i przedsiębiorczość, którą czyny te ujawniają, oraz pojmowanie życia zupełnie odróżniające się od tego, jakie spotykaliśmy w dwóch poprzednich grupach ustrojów społecznych. W nich bowiem człowiek kapituluje wobec twardych wymagań życia i czuje się nieszczęśliwym skutkiem istotnej swej niższości i niedołęztwa. Tymczasem, jak to potwierdzają wyżej przytoczone przykłady, w trzeciej grupie człowiek czuje się silniejszym od tych trudności, a poczucie to wystarcza, aby zapewnić mu spokój i swobodę myśli, oraz niezmiernie zadowolenie, jakie daje pewność zwycięstwa. O ile więc

jest to możliwe na tym świecie, o tyle ludzie ci znajdują szczęście w sobie samych.

W społeczeństwach tych wyjątkowo też tylko spotykamy typ trutnia ¹⁾. Nie podobna bowiem uważać za trutni ludzi, którzy doszedłszy do lat dwudziestu nie pobierają żadnej pomocy pieniężnej od rodziny, żenią się bez posagu, gardzą karierą urzędniczą, a obierają przeważnie zawody praktyczne i niezależne i pod każdym względem więcej polegają na własnej inicjatywie, niż na pomocy i poparciu państwa.

Musimy zgodzić się z myślą, że ludzie, żyjący o własnych siłach, są szczęśliwsi, niż ci, co za każdą przeszkodą oglądają się na pomoc cudzą. To właśnie uczucie zadowolenia tłómaczy olbrzymie, a tak zagadkowe dla nas powodzenie dzieła sir Lubbock'a w Anglii. Aby zadowolnić się słabymi argumentami, które autor sławi szczęście życia, trzeba mieć go bardzo wiele w sobie samym i trzeba, ażeby życie przedstawiało się w tak jasnych barwach, o jakich my pojęcia mieć nie możemy. Jest to książka typowo-angielska, pisana dla Anglików.

Tłómacz pojmuje to doskonale, skoro powiada w przedmowie: „W książce tej zobrazowane są najcenniejsze przymioty umysłów angielskich, jest też ona rdzennie angielską przez swój szczęśliwy i *szczerzy optymizm*, oraz przez swoją wesołość (*cheerfulness*). Sam zaś autor, który Anglię nazywa „Anglią

¹⁾ Typ ten w świecie anglo-saksońskim reprezentowany jest przez liczne żywioły napływowe, pochodzące z ustrojów zbiorowych. W Anglii są już dawniej osiedlone, w Stanach Zjednoczonych dostarczają ich emigranci. Wiadomo, że politycy w Stanach Zjednoczonych rekrutują się głównie z Irlandczyków, a warto zaznaczyć, iż żywioły pochodzenia zbiorowego należą do najbardziej niespokojnych i niezadowolonych ze swego losu.

radosną," dodaje: „Trzeba się zwrócić ku Wschodowi, aby spotkać prawdziwy smutek. Cóż bowiem znajdziemy smętniejszego od wierszy Omara Khayama, albo też Dewas'ów? Np.

Krótki nasz pobyt wśród ziemskich eieni,
Ból serca tłoczy nas od powicia;
Musimy odejść, żalem trawieni,
Nie rozstrzygnąwszy zagadek życia.

A głosy nasze, to wiehrów jęki,
Co światu jesień posępną wróżą,
A życie nasze jest pełne męki,
Westchnieniem, łkaniem, walką i burzą.

Schodząc się z nami w zapatrywaniach, sir Lubbock pisze dalej: „Jeżeli to prawda, że życie ludzkie istotnie jest tak bolesne i przepelnione cierpieniem, to nic więc dziwnego, że Nirwana, usuwająca cierpienie, pożądana być może nawet za cenę ofiary swej świadomości.“

Wszakże i my stwierdziliśmy powyżej, że melancholia stanowi cechę, charakteryzującą filozofię i poezję wschodnią, a tę samą cechę odnajdujemy również u ludności germańskiej i celtyckiej, to jest, wogóle u ludów, źle przysposobionych do pracy przez swój ustroj społeczny.

Prócz tego sir Lubbock zaznacza, iż Anglików nie zraza ani praca, ani walka, a zdanie swoje uzasadnia bardzo charakterystycznie. Na początku rozdziału X-go pod tytułem *Praca i wypoczynek*, tak pisze: „Naturalnie, do przykrości życia nie zaliczam wcale konieczności pracy.“ Nie wyobrażam sobie, aby takie zdanie mógł wypowiedzieć pisarz, należący do społeczeństwa o ustroju zbiorowym, Każdy z nich

raczej zaliczyłby w pierwszym rzędzie potrzebę pracy do ciężarów życia.

Tymczasem sir Lubbock usuwa tę trudność jednym słówkiem „naturalnie,“ gdyż jemu wydaje się to rzeczywiście naturalnem! Pewny jednak jestem, że czytelnicy moi tego poglądu nie podzielą tak, jak ja go nie dzielam, bo, niestety, i do siebie stosować muszę zarzuty, które czynię ogółowi.

Pogłębiając myśl swoją, sir Lubbock dodaje jeszcze :

„Praca i to praca zacięta jest źródłem szczęścia, gdy się jej używa w sposób umiarkowany. Wiemy wszyscy, jak szybko czas przechodzi przy zajęciu, gdy przeciwnie godziny, spędzone na próżniactwie, dłużą się niezmiernie. Zajęcia również zacierają w pamięci drobne kłopoty i zmartwienia codzienne, bo człowiek zajęty nie ma czasu na rozmyślanie i rozdrażnianie się swoim cierpieniem. Jeśli my Anglicy rozwijamy się pomyślnie jako naród, to w znacznej mierze zawdzięczamy tę pomyślność temu właśnie, że jesteśmy zapamiętałymi pracownikami.“

Nasi moralisci francuscy wychwalają pracę, a w szkołach usiłują zaszczerpić dzieciom pracowitość. Zalecamy pracę wszakże i pochwalamy ją i uczymy, jako obowiązku i konieczności, do której przystosować się z wysiłkiem należy. Pojęcie pisarza angielskiego jest zupełnie różne, zasadza się na uznaniu już ustalonego zdania, że praca w Anglii nie jest uważana za przykrość, lecz za „źródło szczęścia i to źródło niezaprzeczone.“

Zdarzyło mi się rozmawiać o tej kwestyi z młodą panienką Angielką, podzielała w zupełności zdanie sir Lubbocka i narówni z nim uznawała, że praca jest bardzo przyjemna, walka zaś i pokonywanie trudności sprawia dużo zadowolenia. Utrzymywała także, iż pogląd taki był powszechny w jej otoczeniu. A ponieważ nie byłem jeszcze zupełnie prze-

konany, dodała, iż Anglicy tak potrzebują ciągłego spożytkowywania swej energii, że gdy nie pracują, to będą wiosłować, grać w krokieta i inne gry, byle zadowolnić swój pociąg do ustawicznego ścierania się i pokonywania trudności. Jakże gruntownego wyćwiczenia potrzeba, aby dojść do takich zapatrywań na pracę!

„Podróżnik wschodni—jak opisuje sir Lubbock—przypatrując się partyi krokieta, był bardzo zdziwiony, dowiedziawszy się, iż gracze byli ludźmi zamożnymi, a nawet bogatymi, i zapytał, dlaczego nie płacą jakich biedaków, aby też trud za nich ponieśli?”

Zapytanie to charakteryzuje doskonale poglądy na pracę, panujące w społeczeństwach o ustroju zbiorowym. Znane jest również wszędzie przysłowie tureckie, które powiada: „lepiej siedzieć, niż stać — leżeć niż siedzieć — umrzeć niż leżeć.” Podobny ideał urzeczywistnić nie łatwo, więc też narody, które mu hołdują, są naturalnie mniej od innych szczęśliwe, a zatem i smutniejsze.

Przeciwnie narody uznające, że lepiej stać, niż siedzieć, naturalnym biegiem rzeczy bywają szczęśliwsze, gdyż dla osiągnięcia powodzenia w życiu trzeba siedzieć jak najmniej.

Nie dochodzi się jednak rychło do uznania tego ostatniego ideału. Nie wystarcza nauczać i powtarzać tylko w szkole i z katedry, że szczęście spoczywa w pracy.

Tak sformułowane zapewnienie jest bowiem mylnem i ci nawet, którzy je głoszą, nie wierzą mu i rzadko kiedy je stosują. Gdyby było prawdziwe, to oddawna ludzie staliby się niezmordowanymi pracownikami, bo wszyscy pragną szczęścia. Tymczasem przeciwnie, prawdą jest, że wielkie mnóstwo ludzi nie widzi wcale szczęścia w pracy, gdyż właściwie szczęście znajduje się nie w pracy, ale

w *zdolności do niej*, co nie jest jedno i to samo. Ileż ludzi chce szczerze rozbudzić w sobie zamiłowanie do pracy, a jednak nie udaje się im to nigdy, mimo zaleceń zdrowej moralności, zdrowej filozofii, a nawet religii. Dla przekroczenia tego trudnego przejścia, otwierającego podwoje prawdziwemu szczęściu na ziemi, potrzeba długiego i głębokiego przekształcenia społecznego, które musi być wynikiem całej seryi zjawisk skombinowanych i nagromadzonych. Aby tak pożądany ustrój społeczny wytworzyć, potrzeba:

Rodziców głęboko przekonanych, iż obowiązani są dać dzieciom swoim tylko wychowanie, ale wychowanie hartowne.

Młodych ludzi, przeświadczonych o konieczności wystarczania sobie w życiu.

Mężczyzn zdecydowanych zaślubiać towarzyszkę życia, a nie posagi.

Formy rządu, ograniczającej do minimum swoje atrybuty i liczbę swoich urzędników, co przymusi młodych ludzi do szukania zajęcia w zawodach niezależnych, które wymagają energii, inicjatywy oraz pracy osobistej.

Wreszcie, jako wynik już takiego nastroju opinii publicznej, który darzyłby takim uznaniem urzędników, polityków i wogóle ludzi bezczynnych, a większem rolników, przemysłowców i kupców.

Zapewne, że przeprowadzenie tylu zmian nie przyjdzie nam łatwo, a jednak tylko pokombinowanie tych wszystkich czynników zdoła zapewnić ludzkości więcej szczęścia na tym świecie, gdyż jest to jedyny sposób rozbudzenia w człowieku zamiłowania do pracy, a zarazem i rozstrzygnięcia podstawowo kwestyi socyalnej.

ROZDZIAŁ VI.

Niedostateczność oddziaływania moralnego i uszlachetnienie społeczne.

Istnieje obecnie grupa ludzi, starających się o uszlachetnienie społeczeństwa drogą moralnego oddziaływania, które—jak powiadają—dąży do uspokojenia sumień przez lepszy tryb życia.“ Aby celu tego dopiąć, usiłują rozwijać w społeczeństwie ducha poświęcenia i miłości bliźniego. Dla nich bowiem kwestya socyalna nie jest ani kwestyą polityczną, ani też społeczną, lecz jedynie „moralną i religijną“. Wychodząc z takiej zasady, zdaje im się, że najskuteczniejszym sposobem rozstrzygnięcia tej kwestyi jest reforma, rozpoczęta od siebie samych — „odrodzenie się“—według słów ewangelii Świętego Jana. Utrzymują nawet, iż głównym, a ściśle biorąc nawet jedynym czynem miłosierdzia jest wyrzeczenie się własnego egoizmu i poddanie się regule ¹⁾.

¹⁾ Zob. „*Notre esprit*“, *union pour l'action morale*. („Nasz duch“, towarzystwo oddziaływania moralnego). (Przyp. autora).

W celu rozstrzygnięcia kwestyi socyalnej stronnictwo to pragnęłoby wyrobić ludzi „prawdziwie dobrych, uduchownionych, świętych.“ „Twierdzą nawet, że tacy między nami istnieją,“ lecz najobfitsze źródła, gdy nie są połączone, rychło w ruchome piaski wsiąkają. Roztargnione bowiem społeczeństwo dozwala im bezużytecznie spływać, a ogół też z nich nie czerpie, przynajmniej nie czerpie w sposób widoczny.“

Wskutek tego pragną źródła te złączyć i wzmożnić nowemi strumykami. Odpychają wszakże usilnie zarzut tworzenia nowej religii i dodawania do tylu sekt jeszcze jednej. „Zbyteczne jest robić nowy port dla dusz ludzkich — mówią — trzeba tylko sprowadzić fale do portów już istniejących, a wówczas połączą się same z sobą.“

Rzeczywiście stronnictwo to nie głosi nowej wiary, gdyż nie występuje z żadnym dogmatem, a tylko nawołuje do nastroju religijnego, aby nim materyalizm i sceptycyzm odeprzeć. Przywołują zatem do siebie wyznawców różnych religij, a nawet i stojących po za niemi, którzy jednak pragną oparcia zewnętrznego, dla ułatwienia sobie walki ze swemi namiętnościami. „Jakkolwiek — piszą — wszystkich wiernych w duszy swemu kościołowi uważamy za ukochanych współpracowników swoich, tem nie mniej beniaminkami naszymi są właśnie owi odosobnieni samotnicy, gdyż istotnie pozostają oni w zbyt wielkiem opuszczeniu“¹⁾.

Ostatecznie „Nasz duch“ odwołuje się do wszystkich, którzy cierpią w życiu moralnie lub materyalnie, i z niemi i przez nich, chce założyć społeczeństwo nowe, odrodzone, a mające za podstawę ducha

¹⁾ Nasz duch str. 12 (przyp. autora).

poświęcenia i ofiary z siebie samych, namiętności swych i woli na korzyść miłości bliźniego.

Utrzymuje również, iż „oddziaływa się na drugich już przez to samo, że się odważnie drogę życia intelektualnego obrało.“

Czyż duch poświęcenia i ofiary z własnego ja, oraz miłość bliźniego, słowem— „oddziaływanie moralne,“ według określenia, używanego przez stowarzyszenie, może istotnie wystarczyć do przeprowadzenia—jak twierdzi ono—reformy socyalnej i udoskonalenia społecznego?

W tem właśnie kwestya, wielka kwestya.

Zgorszą zapewne nie tylko wyżej wspomniane stowarzyszenie, ale i wiele innych osób, utrzymując, że lubo oddziaływanie moralne jest nader pożyteczne do uszlachetnienia jednostek, nie jest jednak dostateczne, aby dokonać uszlachetnienia społecznego.

Proszę pamiętać, że zdanie to wypowiada nie sceptyk, ale człowiek wierzący, przywiązany do religii, ograniczony jej dogmatami i kościołem. Przeto twierdzenie moje nie wynika wcale z wrogich religii zapatrywań, lecz oparte jest na zasadach naukowych, które postaram się wyjaśnić.

II.

Kwestyę tę rozstrzygnąć możemy sposobem bardzo prostym, a jednocześnie doświadczalnym. Wszak zdarzyły się uprzywilejowane okresy, kiedy całemi szeregami pojawiali się święci, to jest ludzie, których słusznie uważamy za wcielony ideał rozwoju moralnego, ponieważ dali dowody najwyższego stopnia poświęcenia, ofiary z osobistego egoizmu i miłości bliźniego. Gdyby więc obecnie możliwe było wywo-

łać tak „liczne źródło moralnego oddziaływania“, to niewątpliwie wiele osób uważałoby uszlachetnienie społeczne za zapewnione.

Warto jednak przyjrzeć się rezultatom owego oddziaływania podczas uprzywilejowanych okresów.

W ciągu pierwszych stuleci istnienia kościoła ożywcze „źródła“ doskonałości moralnej były nietylko przyspieszonym tętnem, ale poprostu wielką falą zalewały. Wszak wówczas nietylko oddziaływano moralnie, ale płynęła jeszcze krew tysięcy męczenników. Nigdy też liczba świętych nie była większą i nigdy może człowiek nie wzniósł się tak wysoko pod względem moralnym i pod względem ofiary z samego siebie.

Równocześnie nigdy społeczeństwo tak nisko nie upadło, jak wówczas. Był to okres cesarów, więc najohydniejszych rządów, jakie kiedykolwiek narzucano ludzkości. Nigdy sztuka umiejętnego uciskania nie była bardziej rozwiniętą. Rzadko też kiedy nędza oraz zbrodnie publiczne i prywatne były również częste, jak w tym okresie:

„Gdzie i w którym innym narodzie — jak nie u Rzymian — woła jeden ze współczesnych z owego okresu kapłan Salvien — spotkamy tak wielkie cierpienia? Frankowie nie są tak chciwi, Hunnom obce są takie zbrodnie, nic podobnego nie dzieje się u Wandalów i Gotów. Rzymianie, żyjący wśród barbarzyńców, nie doświadczają wcale takich utrapień. To też pragną oni nie być nigdy zmuszeni do przejścia ponownie pod panowanie rzymskie. Dlatego to bracia nasi uciekają z naszych prowincyj, aby skryć się wśród barbarzyńców. Ci zaś, którzy nie mogą przenieść do ojczyzny swego nędznego domostwa i rodziny, chwytają się ostatniego środka ratunku, jaki im pozostaje: sami zaofiarowują się możnowładcom bogatym, lecz ci, zamiast udzielić biedakom swej obrony, jeszcze bardziej ich gnębią.“

Utrapienia te trwały oddawna, już bowiem Lactance zaznaczał je, pisząc: „Pola rozmierzone są najskrupulatniej, krzaki winne i drzewa rachowane, inwentarz żywy co do sztuki spisany, jak również każda ludzka głowa. Biedny lud wiejski i miejski stłoczony jest w miastach, podczas gdy naokół cisną się nieprzeliczone tłumy niewolników. Tortury i świst batów rozlega się zewsząd. Trzeba opłacać podatki od dóbr, których się nie posiada. Chorzy, kalecy i umarli nawet zapisywani są w spisach podatkowych.“

Przeciw temu uciemieniu protestowały przykładem swoim setki, a nawet miliony biskupów, zakonników i cały poczet świętych. Oni również zalecali oddziaływanie moralne i nauczali najczystszej moralności. Wszakże mimo ich protestów i przykładów, rozkład społeczny państwa rzymskiego postępował przyśpieszonym tempem, nie zbaczając ani na chwilę z drogi, wiodącej do ostatecznego upadku.

Przybyli barbarzyńcy i z niezmierną łatwością, nie zdając sobie z tego sprawy, pomimo znowu swego brutalstwa, występków i zbrodni, dokonali cudu, którego tylu ludzi cnotliwych i świętych dokonać nie mogło. Z tych to właśnie ludów barbarzyńskich wytworzyły się społeczeństwa nowożytnie, tak różne od starożytnych i o tyle od nich wyższe moralnie i socjalnie. ¹⁾

¹⁾ Pomyślny rezultat wpływu barbarzyńców możnaby przypisywać wprowadzeniu przez nich skromniejszego trybu życia do społeczeństwa rzymskiego. a ztąd mniejszego ich zepsucia rozkoszami bogactwa, co ich czyniło podatniejszymi do ulegania wpływom moralnym. Przypuszczeniu temu wszakże zaprzecza fakt, iż pewne uszlachetnienie społeczne nastąpiło nie po przybyciu wszystkich barbarzyńców, ale tylko niektórych szczepów, a te nie były wcale ani najbiedniejsze, ani też na szczeblu najbardziej pierwotnego ustroju. Przekona o tem praca p. Henryka de Tourville p. t. *Historja ustroju indywidualistycznego*, zamieszczona w *Science sociale*.

Mam nadzieję, iż czytelnicy ani na chwilę nie pomyślą, iż cud ten przypisują brutalności, występkom i zbrodniom barbarzyńców. Poniżej wyjaśnię, w czym mianowicie upatruję przyczynę tej społecznej przemiany; tymczasem ograniczę się na stwierdzeniu tylko faktu, że oni to uczynili, czego inni przeprowadzić nie zdołali, a zatem musieli przynieść z sobą, czy w sobie, jakiś bardzo potężny czynnik, potężniejszy społecznie od oddziaływania moralnego.

Jaskrawego przykładu bezskuteczności „oddziaływania moralnego“ dostarcza nam także Irlandya. Wszak w szóstym stuleciu naszej ery Irlandyę nazywano „wyspą świętych“. Odznaczała się wielką liczbą klasztorów i wydała przeważnie misionarzy, którzy nawrócili Germanię. Stowarzyszenie w celu moralnego oddziaływania mogłoby było wówczas bardzo wielu znaleźć członków w Irlandyi, gdyż troska o „lepsze życie“ zajmowała tam żywo umysły, a wyspa była prawdziwym i niewyczerpanym siedliskiem ludzi takich, jakich właśnie pragnie wyrabiać stowarzyszenie, tj. „prawdziwie dobrych, uduchowionych, świętych“.

Wiara tych ludzi nie była wcale ogniem słomianym i trwa dotąd; Irlandya bowiem jest zawsze klasyczną krainą religijnej żarliwości.

Tak silne napięcie moralne powinno też było zapewnić narodowi temu trwałą i świetną pomysłność. Niestety, trwałym i rozgłośnym był tylko upadek tego narodu, zapoczątkowany w okresie największego zapału religijnego, a trwający dotąd.

Raz jeszcze powtarzam, iż nie przypisuję upadku tego rozwojowi moralnemu i religijnej żarliwości. Z mojej strony znaczyłoby to popaść w błąd, który usiłuję sprostować, a mianowicie błąd upatrywania stosunku niezbędnej przyczynowości między objawami moralnymi a społecznymi. Punkt ten wyja-

śnie szczegółowo, bo uważam go za zasadniczy w kwestyi, którą obecnie rozpatrujemy.

W XIII—XVI wieku Włochy były także potężnym ogniskiem życia moralnego i religijnego i w tym czasie było tam bardzo wielu świętych, a mianowicie: Św. Franciszek z Asyżu, Św. Klara, Św. Antoni Padewski, błogosławiony Joachim z Flory, Jan z Parmy, Fra z Salimbne, Jakób z Todi, Św. Celestyn, Św. Katarzyna z Sienny i inni. Wówczas też powstały we Włoszech zakony Franciszkanów i Klarysek, które miały zdumiewać świat swoim ubóstwem i posłuszeństwem, cnotami wysoko cenionymi przez zwolenników „oddziaływania moralnego“. Wszakże i oni utrzymują, iż niemożliwym jest osiągnąć udoskonalenie społeczne bez wyrzeczenia się wszystkiego, co nie jest ściśle niezbędne w życiu. Zarzucają także, iż przyjeżdża się w powozach wyklądać ludowi prelekcye właśnie o tem, że powozy są zbyteczne. Zwracając zaś uwagę powszechną swoim zbytkiem i wygodnym komfortem, pobudza się zazdrość i podkreśla różnice stanowisk społecznych, twierdząc jednocześnie, iż są one przesądem tylko. Jeżeli więc cierpienia ludu wzbudzają w nas litość istotną, musimy wyrzec się tego wszystkiego, co czyni życie wystawnem i miłym.

Niepodobna jednak uniknąć tej naturalnej konsekwencyi, choć jest ona twardą i ciężką; należy bowiem zmienić z gruntu skalę naszych sądów, stawiając wysoko to, co dotąd stało nisko i odwrotnie. Przemiana powinna być zupełną, gdyż inaczej nie dojdziemy do żadnych rezultatów i będziemy się tylko jak dzieci uskarżać na swe niepowodzenie... Czyż Święty Franciszek z Asyżu nie podpisałby się pod tą odezwą?

Wszak i on chciał, by się wyrzekano „wszystkiego, co nie jest niezbędne w życiu“. „Idźcie, naucał, nie zabierając z sobą ani złota, ani srebra, ani

pieniędzy, ani sakwy, ani zapasowej odzieży, ani obuwia, ani nawet kija". Wiadomo zaś, jak tłumnie zgłaszali się na jego wezwanie uczniowie, pełni zapалу, tak, że już w dziewięć lat po założeniu zakonu mógł wysłać na walne zgromadzenie kapituły w Asyżu 5000 delegatów. a na 7000 klasztorów cyfra zakonników doszła do 115,000, nie biorąc w rachubę licznych żeńskich zakonów tej reguły, oraz wielkie mnóstwo laików, wpisanych do bractwa teryciarzy.

Gdyby stronnicy „oddziaływania moralnego“ zdołali taką liczbę zwolenników swojej zasady zgromadzić, sądziliby bezwątpienia, że moralne odrodzenie Francji jest zapewnione.

Tymczasem fakty przekonywają nas znowu, że ten świetny rozkwit moralnego i religijnego nastroju ludzkości włoskiej nie miał, niestety, większego i dodatniejszego wpływu pod względem społecznym, aniżeli w państwie rzymskim i nieszczęśliwej Irlandyi. Rozkład i upadek Włoch zaznaczał się coraz silniej i głębiej wśród anarchii politycznej i rozluźnienia obyczajów, przypominających i prawie przyćmiewających anarchię i obyczaje pogańskiego Rzymu. Epoka Odrodzenia powróciła Włochom nietylko literacką i artystyczną twórczość, lecz i obyczaje oraz przywary i nałogi starożytne. Ani oddziaływanie, ani wpływ, ani przykład Włoch mistycznych nie zdołał zapobiedz waleniu się Włoch społecznych i politycznych, waleniu, które trwa dotąd.

Nie chcę mnożyć przykładów, choć historia jest niemi przepelnioną, jeszcze jeden przytoczyć jednak muszę:

W modę u nas weszło podziwianie moralności buddyzmu. Jest ona istotnie podniosłą, litościwą dla biednych, słabych i uciśnionych. Nie w tem jednak spoczywa jądro kwestyi. Czyż ta moralność potrafiła rozstrzygnąć zadanie udoskonalenia społecz-

nego w Indjach i odległym Wschodzie, kędy swój wpływ wywierała? Nizki stopień uspołecznienia tych właśnie krajów jest tak widoczny, iż zbyteczne się staje przytaczanie dowodów, a moralność buddyzmu dźwignąć ich nie zdołała.

Bezskuteczność wpływów moralnych na rozwój społeczny jest tak oczywistą, iż nawet ci, co jej zaprzeczają, mimowoli dochodzą do jej stwierdzenia. Prawda ta bowiem wyrывa się z ich ust wbrew ich woli, siłą faktu, przewyższającą siły inne. Oto np., co czytamy w odezwie tego stronnictwa ¹⁾:

Każda rodzina i każda szkoła naucza dzieci, iż należy być nie tylko uczciwym, ale i dobrym, a honor polega na poświęceniu. Gdyby zatem wypowiedzenie i wysłuchanie tych zasad wystarczało do wprowadzenia ich w czyn, masowe nawrócenie społeczeństwa byłoby rzeczą niesłychanie łatwą. Istnieje także wielka liczba kościołów różnych wyznań. Dzieci pobierają w nich naukę katechizmu, a starsi mają drzwi zawsze otwarte, ilekroć chcą usłyszeć, czy to w formie nauki lub kazania, czy też nabożeństwa, zalecenie zmiany trybu życia naturalnego na szlachetniejsze i wyższe życie pobożności i świętości. Tysiące gorliwych księży zajęte są nieustannie tem nauczaniem; zdawałoby się zatem, iż choć trudne, zadanie to powinno być już spełnione. Panowanie Ewangelii jednak jeszcze nie nadeszło, a czysta mądrość—zgodna z Ewangelią—tak silnie ugruntowana przez wielkich filozofów współczesnych, nie przeniknęła do masy narodu. Wynika stąd niesłychany odskok od ideału moralnego, jaki sumienie nasze zdołało już sobie wytworzyć, do naszej istotnej moralności, którą stosujemy w życiu“.

¹⁾ „Nasz duch“ str. 11.

Nie potrafiłbym lepiej uwydatnić tej rażącej sprzeczności, lecz jakim sposobem, pisząc to, autorowie nie dostrzegli wadliwości swoich usiłowań, opartych wyłącznie na „oddziaływaniu moralnem?”

Przyznaję, że są tysiące gorliwych księży, zajętych nieustannie uszlachetnianiem społeczeństwa i to księży różnych wyznań: katolików, protestantów itd., a oprócz kapłanów, pracują nad tem zadaniem jeszcze i wielcy współcześni filozofowie, a następnie dochodzą do tego smutnego wyniku, że ci wszyscy gorliwi na niwie Pańskiej pracownicy nie osiągnęli żadnego rezultatu, bo „ani Ewangelia, ani moralność nie przeniknęły do mas narodu“. Po takim stwierdzeniu bezowocności tylu gorliwych starań wyprowadzają nieoczekiwany wniosek, iż trzeba: „Rozpocząć nanowo“. Czyż istotnie spodziewają się osiągnąć to, czego nie mogła dokonać olbrzymia potęga Kościoła, oraz liczne wyznania! Jak można nie pojąć, że jeśli tyle wysiłków, tyle poświęceń, wyrzeczeń się i miłosierdzia, oraz tyle ofiar pozostało bez skutku, to już nikt i nic nie zdoła na tej drodze uzyskać?

Podziwu godne jest, że te niepowodzenia zwoleńnikom oddziaływania moralnego nie nasunęły myśli tak prostej i naturalnej, do której dochodzi każdy uczony, gdy go doświadczenia zawiodą, a mianowicie: jeżeli oddziaływanie moralne okazuje się niewystarczające, aby zapewnić narodom trwałą pomysłność i potęgę, to widocznie oddziaływaniu temu braknąć musi jakiegoś niezbędnego czynnika, którego brak nie dozwala osiągnąć pożądanego rezultatu.

Czegóż więc mu brak? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć.

III.

Czytelnicy pozwolą, że przytoczę alegoryę, wziętą z Pisma Świętego, co powinno podobać się

obroncom „oddziaływania moralnego“. Oddziaływanie to może być porównane do ziarna, które kiełkuje lub marnuje się stosownie do gruntu, na jaki padnie. Jakość tego gruntu ma zatem doniosłość niezmierną i rozstrzygającą.

Wypowiadając to zdanie, wiem, że nie wypowiadam wcale rzeczy nowej, przeciwnie, od czasów Ewangelii zdanie to było zastosowywane tysiące razy przez teologów, moralistów i kaznodziel najróżniejszych szkół i wyznań. Stało się więc już jedną z prawd tak znanych i oczywistych, że aż banalnych.

Na tej jednak uznanej prawdzie zaszczerpiono błąd, który ja, niestety, zaćmił. Błąd ten polega na przypuszczeniu, iż dobry gatunek ziarna może kiełkować nawet na gruncie jałowym. Zaczęto więc mówić, że „niema złego gruntu, jest tylko liche ziarno.“ Od takiego poglądu do zaniedbania zupełnego starań o polepszenie gruntu krok tylko jeden i ten też szybko uczyniony został; między innymi bowiem czytamy takie zdanie:

„Zbytecznem jest zastanawiać się nad kwestyą, czy okres obecny jest gorszy od poprzednich, gdyż nikt stanowczo o tem wyrokować nie może, więc też bezcelowe jest stawianie tego pytania“. Co równa się twierdzeniu, iż bezcelowem jest troszczenie się o jakość gruntu.

Opierając się na tym nieuzasadnionym poglądzie, rzuca się pełnemi garściami ziarno moralności na wszystkie strony. Następuje potem zdziwienie, że ziarno rzucone nie kiełkuje, albo też uspokaja się je odraczaniem owego kiełkowania do greckich calendas, tj. właściwie do tych lepszych czasów, których się doczekać nie można.

„Dzielo nasze—powiadają—jest tak olbrzymie, iż nie możemy marzyć o doczekaniu się nawet po-

czątku jego urzeczywistnienia. Nie zmienia to jednak w niczem naszych obowiązków. Powodzenie nie jest naszym celem“.¹⁾

„Przeciwnie, powodzenie jest właśnie celem, nawet celem jedynym i wyłącznym. Jakto, podejmując pełne chwały i zasługi dzieło odrodzenia swego kraju nie pragnęlibyśmy powodzenia tegoż dzieła, więc osiągnięcie tego pożądanego odrodzenia nie jest celem? Ależ byłaby to sztuka dla sztuki, moralność dla moralności!

„Niepowodzenie, wszystkich wyłącznych moralistów, przyjmowane przez nich z tak filozoficznym stoicyzmem, pochodzi właśnie z przekonania, że jakość gruntu, na który ziarno pada, jest obojętną i że jest „bezcelowem“ o nią się troszczyć. Natura bowiem gruntu społecznego najlepiej wpływa na powodzenie lub niepowodzenie wpływów moralnych.

Na udowodnienie tej zasady, pozwolę sobie przytoczyć doświadczenie p. Pawła Desjardins, inicjatora stowarzyszenia „Nasz duch“. Spotkaliśmy się w Edyburgu, gdzie obaj mieszkaliśmy odczyty. on o moralnem oddziaływaniu, ja o naukach społecznych. Otóż wspomniał mi on, że był zdziwiony wielką podatnością audytoryum dla swej propagandy. „Grunt wyborny“ powtarzał. Znalazł bowiem publiczność poważną, słuchającą ze skupieniem i w najlepszym nastroju umysłu, aby skorzystać z jego moralnego oddziaływania.

Zastanawiała również pana Desjardins odrębność zapatrywań, jakie tu spotkał, a zwykł ogólnie we Francyi dostrzegać. Obecnie bowiem we Francyi stało się w pewnych kołach towarzyskich rodzajem mody interesować się dążnościami moralnemi, należy to do szyku, nadaje pewną powagę, jest „ostatnim

¹⁾ „Duch nasz“ str. 26.

wyrazem", według dziwaczego określenia tych kół towarzyskich. Jednem słowem, moda ta, jak wiele innych była, jest i będzie, gdyż moda, jak wiadomo, jest nietrwałą i zmienną, rychło więc i w tym wypadku nastąpi zmiana kierunku, z równą łatwością, jak suknie obcisłe zastępują suknie bufiaste. Ogół publiczności zaś wyśmiewa te dążenia, jak wogóle wyśmiewamy wszystko we Francyi.

Cóż dziwnego, że na tak źle przygotowanym gruncie dobre ziarno kielkować nie może? Obecny ustrój społeczny nie dozwala rozwinąć się oddziaływaniu moralnemu u nas, jak przeszkadzał ongi w społeczeństwie rzymskiem, w Irlandyi, we Włoszech i na Wschodzie, oddziaływanie to nie wydało rezultatów upragnionych. Jeżeli zatem chcemy osiągnąć wyniki poważne, powinniśmy rozpocząć od początku, to jest od zreformowania naszego ustroju społecznego. W czem jednak zmienić to potrzeba?

Czegóż niedostaje naszemu społeczeństwu, ażeby było zdolnem przyjąć nasienie moralne, jakie weni rzucić zamierzamy, i wydać owoc pożądany?

Otóż brakuje mu właśnie urabiania ludzi; brakuje mu przygotowania ludzi do „życia poważnego“.

Do czego przysposabiamy nasze dzieci? Czego je uczymy?

Uczymy je, że ideałem, najwyższą mądrością jest unikanie, o ile można, wszelkich trudności i niebezpieczeństw w życiu. Mówimy mu: „Drogiem dziecie, licz przedewszystkiem na nas; wszak widzisz, jak oszczędzamy, ażeby w dniu twego małżeństwa być w stanie obdarzyć cię jaknajwiększym posagiem. Zanadto cię kochamy, iżbyśmy nie mieli dokładać sił wszelkich dla usunięcia z twej drogi wszystkich zawad życia. Licz także na naszych krewnych, na naszych przyjaciół, którzy cię będą pchali

k którzy ci będą służyli pochlebne świadectwem, ażeby ci pomógł do zrobienia kariery. Rachuj również na rząd, który rozporządza niezliczoną ilością posad; na takiej posadzie jest się bezwarunkowo bezpiecznym, nienarażonym na żadne nieprzewidziane wypadki, odbiera się regularnie zapłatę przy końcu każdego miesiąca, ma się zapewniony awans automatyczny, dzięki prostemu mechanizmowi ustąpienia i śmierci; do tego stopnia, że możesz naprzód wiedzieć, iż w tym wieku będziesz zarabiał tyle, w późniejszym tyle a tyle, wreszcie zaś w określonym wieku otrzymasz emeryturę, dobrą emeryturę. Ale, drogie dziecko, zważywszy, że posady te są dość nisko płatne, nie można bowiem mieć wszystkich przywilejów jednocześnie, musisz jeszcze liczyć na to, co ci wniesie twoja żona. Trzeba więc przedewszystkiem szukać żony bogatej; lecz nie troszcz się o to, my ci taką wyszukamy, my ci ją wynajdziemy. Oto, drogie dziecko, rady, jakie nam dyktuje miłość nasza dla ciebie“.

Jeżeli młody człowiek codziennie przy domowym ognisku słyży podobne rady; jeżeli wszyscy wokoło niego, na ulicy, w towarzystwie przemawiają do niego temi słowy, powoli, nieznacznie przyzwyczajają się liczyć więcej na innych, aniżeli na samego siebie i unika zawodów, wymagających nieustannego wysiłku, natężonej inicjatywy, narażających na wypadki losu, jako to: rolnictwo, przemysł i handel. Woli natomiast zwrócić się ku życiu spokojnemu.

Takie pojmowanie życia prowadzi za sobą odrętwienie, zanik woli, energii, dzielności, czyni człowieka niezdolnym do wysiłku; skłania go raczej do unikania trudności, aniżeli do zwalczania ich, wywołuje pościg za powabną stroną życia, a usuwanie strony poważnej; w ten sposób człowiek staje się niepodatnym dla owego wpływu moralnego, wyma-

gającego nieodzownie wysiłku i zapanowania nad samym sobą.

Oto najważniejsza przeszkoda, paraliżująca wszelką propagandę czysto moralną i niemożliwa do zwalczania za pomocą samego tylko oddziaływania moralnego, gdyż całe społeczeństwo przysięgło się przeciw tej nauce, głoszącej następujący aksjomat:

Człowiek powinien być zdecydowany czynić to, co mu ciężko przychodzi. Całe nasze społeczeństwo odpowiada przeciwnie i głuszy podnoszące się głosy.

Tak więc grunt społeczeństwa należałoby przekształcić przedewszystkiem, a przekształcić go należy w duchu rozwoju inicjatywy osobistej, czyli, innymi słowami powiedziawszy, w kierunku życia „poważnego“.

To długa praca—odpowiedzą mi.

Najkrótsza droga jest ta, która wiedzie do celu, droga zaś oddziaływania moralnego doń nie prowadzi, to nawet przyznają jego zwolennicy.

Ale czyż wistocie droga ta jest tak mozolną, jakby się zdawało? Wykażemy niebawem, że tak nie jest, gdyż naturalny bieg wypadków — ponad wszystko silniejszy — nieprzewyciężenie wiedzie nas ku niej. Należy więc poznać, popierać i przyspieszać to dążenie, nie zaś zaprzeczać jego istnieniu, stawiać mu przeszkody i opóźniać bieg jego, jak to się zwykle dzieje w imię najlepszych intencji, i w tym to kierunku powinniśmy wyęźać wszystkie nasze usiłowania.

W jakim sposobie i w czym mianowicie objawia się to dążenie?

Objawia się ono w całym zbiorze symptomatów, które postaramy się wyliczyć w krótkości:

1-szy symptomat. — *Zetknięcie się i współzawodniczenie z rasą anglo-saksońską.* Niepodobna nam uniknąć tego; przedsiębiorczą i zaborczą rasę spoty-

kamy na każdym polu, na jakim tylko odbywa się nasza działalność społeczna. W Europie ona to stoi u naszego progu; na szerokim świecie ona znajduje się wszędzie, i ją to spotykamy na każdym kroku, gdziebądź pragniemy stworzyć kolonię, lub poprostu jakikolwiek zakład.

Zarówno w Europie, jak i na całym świecie znajdujemy współzawodników w jej rolnikach, kolonistach, przemysłowcach, kupcach, a wiadomo, do jakiego stopnia konkurencya ta jest groźną, do jakiego stopnia opiera się ona na energii, wytrwałości, na zmyśle praktycznym i przyzwyczajeniu liczenia na samego siebie.

Otóż to zetknięcie się i współzawodnictwo są bodźcem dla nas: wypieranie, wyzwanie z zajmowanych stanowisk wywołuje reakcję; przykład przeciwników poucza, wpływ ich oddziaływa.

To też dla odebrania tej zbawiennej nauki zachęcamy młodych ludzi, uczęszczających na kursa socyologii, iżby się udali do Anglii, ażeby weszli w bliższą styczność z tą rasą i od niej nauczyli się tego, co stanowi przyczynę jej wyższości.

Lecz objaw powyższy byłby niedostatecznym do odzwierciadlania ruchu społecznego, gdyby nie było innych, wychodzących na jaw w samym narodzie.

2-gi symptomat. *Jednogłośnie uznana wadliwość naszego systemu nauczania.* Jest ona dzisiaj jawną dla wszystkich. Krytycy naszego systemu nauczania z dnia na dzień stają się liczniejsi, śmielsi; mnożą się nawet w uniwersytecie, nawet pomiędzy ministrami oświaty publicznej i we wszystkich stronnictwach politycznych. Nieledwie stało się już ogólnikiem utrzymywać, że szkoła nie dotrzymała tego, co obiecywała. Wszyscy stwierdzają ogólne obniżenie nauk.

Szkoła kształci bakałarzy, urzędników, biurokratów; nie wydaje zaś ludzi, zdolnych dać sobie radę w życiu.

Wiadomo, iż p. Lavisse stoi na czele grupy ludzi wyższego wykształcenia, żądających reformy nauczania w kierunku uwzględniania wartości człowieka. Przypominam sobie, że przytacza w jednej ze swych konferencyj w tym przedmiocie, zdanie, wyrzeczone do mnie przez młodego Anglika: „Niech pan nie myśli, że jestem uczony; w szkole w Anglii nie uczą nas wiele, chyba tego, jak się zachowywać w życiu“. Jakaż to piękna дума angielska w tem skromnem słówku! Z pewnością gość mój nie byłby przystał na zamianę swej umiejętności życia na naszą wiedzę szkolną. Odpowiedziałby mi, że Anglia potrzebuje ludzi, przywykłych liczyć tylko na samych siebie, z charakterem niezależnym i śmiałym; że potrzebuje takich dla swego handlu, dla przemysłu i polityki.

To już wiele, że uznajemy, iż nasz system nauczania wymaga reformy, że nie daje nam ani „umiejętności zachowania się w życiu“, ani „zwyczaju liczenia na siebie“. Przyznanie się do błędu jest pierwszym krokiem ku prawdzie.

3-ci symptomat. *Rozwój ćwiczeń fizycznych wśród młodzieży*. Małoż to pogardzaliśmy wychowaniem fizycznym? Nie znaleźmy go nawet z nazwy. Znaną jest nasza okropna szkoła, jej klasy i za długie godziny nauki, rekreacye za krótkie i pozbawione ćwiczeń, spacery więzienne, istne błąkanie się wśród wyniosłych i posepnych murów; a potem, co czwartek i co niedziela spacer urzędowy, szeregami, ruch dobry dla starców, nie zaś dla młodzieży.

Jakimże sposobem męskość, energia, pragnienie działania i potrzeba niezależności mogły rozwi-

nać się pod wpływem trybu życia, obezwładniającego ciało, zmieniającego je w przeszkodę, zamiast w sprzymierzeńca?

Człowiek, mogący rozporządzać dobrem narzędziem fizycznym, ma większy zasób pewności siebie i zdolniejszy jest stawiać czoło trudnościom życia; uczuwa więcej skłonności do życia czynnego, aniżeli do zajęć siedzących i podrzędniejszych w administracji; czuje się więcej człowiekiem, a tem samem jest nim w istocie.

Otóż wiadomo, do jakiego stopnia rozwoju doszły w przeciągu ostatnich lat kilku ćwiczenia cielesne; wyrazy, jak: sport, match, rekord, rekordman i t. d., wszystkie pochodzenia angielskiego, gwałtem wciskają się do naszego słownika. Wszystkie pisma musiały otworzyć nową rubrykę dla sportów, mnóstwo powstało piśemek specjalnych, z których niejedne wychodzą w ilości przeszło dziesięciu tysięcy egzemplarzy. W niektóre dni w niejednym cykłodromie gromadzi się po dwadzieścia tysięcy widzów i zarząd musi odmawiać wpuszczania. Młodzi ludzie, w ten sposób czas spędzający, przysposabiają się do życia ruchliwszego, do samodzielniejszej inicjatywy; pojęli już, jak zwalczać ciało, jak je opanowywać, co jest najlepszem przygotowaniem do zwalczania życia. Młodzież ta jest nadzieją narodu.

4-ty symptomat. *Wzrastające zapełnienie posad administracyjnych.* Jest to powód ogólnego narzekania; dziesięciu, dwudziestu, stu kandydatów ubiega się o jedno miejsce, wszyscy obierają zawód urzędniczy. Kandydaci czekają i zapełniają przedpokoje rządów, starają się o listy rekomendujące, jęczą i narzekają.

Jednakże powoli nowa opinia zaczyna się wyrabiać, ludzie mówią sobie, że coraz trudniej dostać się w te sfery, że widoki powodzenia stają się

coraz wątpliwsze, i że wistocie nie warto tyle podejmować zachodu. Oczy wszystkich zwracają się ku zawodom niezależnym, które zarazem są także korzystniejsze. Wprawdzie jest to dopiero wahanie się, tendencya; ale dajmy naturalny bieg rzeczom, a dążność pomieniona wyraźniej się zarysuje; teraz już objawia się gdzie indziej pomiędzy zdolniejszymi i śmielszymi młodzieńcami.

5-ty symptomat. *Zniżka procentów od kapitału.* Z 5% zeszliśmy na 4%; teraz spadliśmy na 3%, a najlepsze papiery przynoszą niższe jeszcze odsetki. Ztąd każdy coraz mniej liczyć powinien na swoje dochody, na posag żony. Coraz trudniej poprzestać na skromnej pensyjce urzędnika; przede wszystkim zaś coraz trudniej przychodzi żyć jako bezczynny kapitalista. To jest argument wymowniejszy, niż wszelkie rozprawy, przynaglający ludzi do działania samodzielnego, do rachowania na pomoc własną. Trudno opierać się długo tej konieczności. Gdy się zaprowadzi w budżecie wszelkie możliwe oszczędności, z konieczności trzeba będzie wziąć się do tego.

6-ty symptomat. *Nadmierne obciążenie podatkami.* Francuzi są narodem najbardziej opodatkowanym; wytrzymują ten nadmiar podatków dzięki umiejętności oszczędzania raczej, aniżeli dzięki ilości pracy, gdyż rolnictwo, przemysł i handel zamiedbywane były przez wszystkie rodziny, wynoszące się ponad poziom, czyli te, które dzięki swej wyższości umysłowej i znacznym kapitałom mogły być najwięcej przyczynić się do ich rozwoju. W tych warunkach te trzy jedyne źródła bogactwa publicznego z roku na rok wysychały; z tego powodu coraz mniej mogli liczyć na podatki, chyba, że odrazu i raz na zawsze spuścimy się tylko na pomoc własną, ażeby doprowadzić do kwitnącego stanu rolnictwo, przemysł i handel, i nieustanny rozwój zapewnić

tym trzem źródłom, z których czerpią wszystkie pa-sorzytne profesye, zapisane w budżecie.

7-my symptomat. *Dążność do powrotu do życia wiejskiego i do zawodów niezależnych.* Jest to następstwo obsadzenia urzędów administracyjnych, zniżki taksy procentowej, oraz niedoboru budżetowego. Zawody, których unikano dawniej dla przesądów kastowych, przez fałszywy wstyd, przez wstręt do wszystkiego, co wymagało inityatywy i odpowiedzialności, coraz mniej są lekceważone obecnie; będziemy zmuszeni powrócić do nich z biegiem rzeczy.

Owa dążność do powrotu objawia się przede-wszystkiem w stosunku do rolnictwa. Musi jej się poddać z konieczności pewna liczba właścicieli ziem-skich, będących w położeniu krytycznem wskutek przesilenia rolniczego, powiększonego przez zniżkę taksy procentowej i zapelnienie posad administra-cyjnych. Chętnie przedłużyliby pobyt swój w mie-scie, lecz nieubłagany tryb rzeczy popycha ich ku wsi; z rezygnacją wreszcie poddają się konieczności zajęcia się uprawą roli, zaniedbanej przez dzierżaw-ców. Niektórzy decydują się na czasowy pobyt w swych majątkach, przyjeżdżają na znaczną część roku, wreszcie niekiedy zamieszkują tamże na stałe dla względów oszczędnościowych.

Ta dążność do powrotu ku uprawie roli obja-wia się w rozwoju towarzystw rolniczych, wyda-wnictw i syndykatów rolniczych. Wiadomo jak te ostatnie powstały we wszystkich punktach kraju za inicjatywą właścicieli większych własności. Wielu z tych właścicieli widziało w nich tylko narzę-dzie polityczne, albo sposób wywierania wpływu; lecz zwolna ulegają i oni działaniu tego nowego śro-dowiska i za pomocą jego zaznajamiania się z owe-mi rozlicznymi kwestyami nawozów i maszyn rolni-

czych, pogardzanemi dawniej; syndykat nieznacznie staje się rolniczym na dobre.

Z drugiej strony, niektórzy przezorniejsi kapitaliści zaczynają korzystać z ogólnej zniżki cen ziemi, będącej następstwem przesilenia rolniczego, i skupują własności ziemskie, gdyż dochód z ziemi coraz więcej równa się z dochodem od walorów giełdowych.

8-my symptomat. *Zachęcanie do kolonizacyi.* Potęga kolonizacyjna narodu jest najpewniejszym dowodem jego potęgi społecznej. Świadczy ona o duchu inicjatywy mieszkańców i o rozprzestrzenieniu się ich po świecie. W tem to właśnie tak groźną jest rasa anglo-saksońska.

Nie można powiedzieć, że Francya na seryo weszła na tę drogę; kolonizacya jej jest głównie administracyjną; eksportujemy więcej wojskowych i urzędników, aniżeli kolonistów. W każdym razie dostrzedz można przynajmniej dążenie w kierunku zachęcania do kolonizacyi, do wykazywania jej stron dodatnich. Znaczna ilość towarzystw i wydawnictw założona została w tym celu, zorganizowano wyprawy eksportacyjne; coraz liczniejszy zastęp publiczności interesuje się kwestyami geograficznymi; zdaje się, że Francuz, tak zadomowiony z natury, zaczyna spostrzegać, iż po za Francją istnieją kraje, w których można zamieszkać i żyć.

To wszystko dotąd jest jeszcze bardzo platoniczne, przyznaję, ale nie zapominajmy, że symptomy wymienione poprzednio, również przyczyniają się do popierania kolonizacyi, a następstwem ich będzie silniejsze uwydatnienie się tej dążności.

9-ty symptomat. *Wzrastające zdyskredytowanie polityki i polityków.* Jeżeli zdolność kolonizacyjna jest świadectwem potęgi społecznej, to wiara w politykę

i w polityków stanowi najpewniejszy dowód niższości. Świadczy ona o tem, że obywatele liczą więcej na działanie i pośrednictwo rządu, aniżeli na własną inicjatywę; że skłonniejsi są do zajmowania posad i urzędów administracyjnych, aniżeli do obierania zawodów niezależnych. Taki stan umysłów odwraca ogół od zawodów niezależnych, stanowiących siłę żywotną kraju i paraliżuje działalność prywatną.

Nieomyślne poszlaki świadczą, iż Francuzi zaczynają się otrząsać z tych złudzeń. Dochodzimy do wniosku, że polityka nie dała nam tego, czegośmy od niej oczekiwali; jesteśmy rozczarowani co do wszystkich punktów: wolność, równość, braterstwo, rząd niekosztowny, rządzenie narodem przez naród, zmniejszenie podatków, tolerancya przekonań politycznych i religijnych i t. d. Rozczarowania nasze znalazły wyraz w licznych zmianach formy rządu i w liczniejszych jeszcze zmianach konstytucyi. Dzisiaj już wszystko wypróbowaliśmy i zbadaliśmy głąb całej polityki.

Z tego powodu stwierdzić można fakt bardzo wymowny: zmniejszające się stopniowo zainteresowanie się publiczności dziennikami wyłącznie politycznymi. Przenieśmy się do czasów Restauracyi i Rządu lipcowego, albo nawet do drugiego Cesarstwa: wówczas dziennik polityczny był potęgą ogólnie słuchaną i szanowaną; dziennikarz rozporządzał władzą ogromną; najwybitniejsi mężowie stanu bywali publicystami. Dzienniki jak: *le National*, *le Globe*, *le Constitutionnel*, *les Débats*, kierowały i rządziły opinią publiczną. Nie było innych dzienników oprócz politycznych, a każdy dziennik przedstawiał odrębną częśćkę opinii publicznej.

Jakżeż się czasy zmieniły! Dzisiaj dzienniki czysto polityczne straciły znaczną część swej powagi i większą jeszcze część swej klienteli. Naj-

większe powodzenie obecnie mają dzienniki tak zwane „brukowe“, które politykę zamknęły w szczupłym zakresie i uważają ją jako zawadę; albo też dzienniki, zawierające wiadomości telegraficzne, bez jakiegokolwiek opinii politycznej; wreszcie wydawnictwa specjalne, traktujące o sprawach rzemiosł i interesach miejscowych, rodzaj nieznanym zupełnie przed czterdziestu i pięćdziesięciu laty.

Drugi dowód owego zdyskredytowania: posady polityczne cieszą się mniejszem poważaniem, aniżeli dawniej. Aureola, otaczająca niegdyś urzędnika, dzisiaj zniknęła. Gdzież się podział dawny typ prefekta Cesarstwa, osobistość, której nikt nie mógł oglądać bez wzruszenia? Gdzie się podziela owa stara magistratura francuska z przed czterdziestu lat zaledwie, owa magistratura, stanowiąca nieledwie ciało kapłańskie? Opinia publiczna zaczyna poznawać, że urzędy te są mniej pewne, niżby się zdawało; że ujarzmiają niezależność; że wreszcie licho są płatne.

Nakoniec nie przytaczam tu już szczegółów Panamy, które powinnyby odstręczać od polityki ludzi, nawet najtrudniejszych do odstręczenia.

Aureola, niegdyś otaczająca rząd, ministrów, urzędników, jest więc na seryo przyćmiona; jest to fakt pomyślny, albowiem co traci rząd, to zyskuje człowiek prywatny, życie prywatne i miejscowe, a to właśnie są istotne i trwałe podstawy potęgi społecznej.

Z tej strony więc możemy również stwierdzić postęp.

10-ty symptomat. *Zmniejszenie się uroku praktyk dobroczynności.* Cel, do którego dążą praktyki dobroczynności, miłosierdzia i tak nazwane „dobra publicznego“, bezwzględnie jest wysoce podniosły, ale ujemną ich stroną jest to, że wydają się roz-

wiązaniem kwestyi socyalnej; wistocie są one paliatywem, nie zaś lekarstwem radykalnem, uśmierniają zle podobnie jak morfina, ale go nie leczą. Nie wspomaganie ludzi, ale raczej przysposobienie ich do samodzielnego podniesienia się, jest najwłaściwszym sposobem pomocy. Z tego punktu widzenia szukanie lekarstwa społecznego *wyłącznie* w dziełach filantropijnych może się stać prawdziwem niebezpieczeństwem.

Otóż jawnem jest, że dawne ślepe nasze uwielbienie dla objawów dobroczynności, oraz urok ludzi, spełniających owe praktyki, zmniejsza się na seryo. Instytucye te za wiele i za długo doznawały samych niepowodzeń, aż wreszcie straciły dawne, powszechne zaufanie. Poznano całą niemoc wysiłków zbiorowych, z pozoru tak potężnych, w istocie zaś będących tylko objawem niemocy osobistej. Zaczynamy przychodzić do przekonania, że dyrektor zakładu przemysłowego, właściciel ziemski, lub jakkolwiek pryncypał, interesujący się losem swych robotników, działa o wiele skuteczniej, aniżeli pięćdziesięciu filantropów, chlubiących się poprawą losu ludzi, którzy na wsze strony wymykają się z pod ich wpływu, których nie znają nawet, z którymi nie mają najmniejszego stosunku naturalnego i pozytywnego.

11-ty symptomat. *Wybuch doktryn socyalistycznych.* Rozliczne wzmiankowane powyżej symptomaty wiodą nas w kierunku wprost przeciwnym socyalizmowi, jako dążące do rozwinięcia inicjatywy indywidualnej, oraz do przytłumienia akcji kolektywicznej.

Podobnież grupa socyalna, stojąca obecnie na czele wszystkich innych, grupa anglo-saksońska, zawdzięcza swoje wyniesienie rozwojowi inicjatywy osobistej. Socyalizm zatem stoi w sprzeczności z obecnym postępek rzeczy.

Ale w takim razie, jak wytłumaczyć wybuch doktryn socjalistycznych i w jaki sposób w owym wybuchu upatrywać można podźwignienie się społeczeństwa?

Z łatwością wyjaśnić możemy genezę tego zjawiska. Przewrót taki, jak ten, którego wyliczyliśmy różnorakie objawy, nie dokonywa się zazwyczaj bez zadraśnięć i bez bólu. Przywykło się liczyć na poparcie rodziny, przyjaciół, stronnictwa politycznego, wreszcie rządu; żyło się w społeczeństwie, dążąc raczej do trwałego zastoju, aniżeli do postępu, gdzie konkurencya ograniczona była trudnościami transportu, co wywoływało ustalenie tradycji i pewności sposobów egzystencji. Lecz oto nagle rozwój transportu oraz wielkiego warsztatu, wywołany odkryciem węgla kamiennego, zniósł wszystkie te ochronne szranki, skruszył zapleśniałe ramy, więzące i osłaniające indywidualum. Rolnik, przemysłowiec, handlowiec w jednej chwili ujrzeli się narażonymi na konkurencyę wszystkich rolników, wszystkich przemysłowców, wszystkich kupców z całego świata.

Cóż nastąpiło wówczas?

Ci, którzy najwięcej uposażeni byli w energię osobistą, jako też inicjatywę indywidualną, w nowych tych a trudnych warunkach znaleźli wspierające pole do rozwinięcia swych przymiotów: dosięgnęli nieznanego do tej pory stopnia bogactwa i potęgi.

Tak właśnie miała się rzecz z rasą anglosaksońską, która wyścignęła wszystkie inne pod względem energii oraz inicjatywy prywatnej. Od tej pory rasa ta zaczęła zalewać świat i zagroziła bytowi innych ras.

Przeciwnie, osobniki mniej zdolne do inicjatywy, zostały jakby zaskoczone i przywalone znienacka; zamiast ustroić się w energię, zamiast stawić czoło trudnościom chwili obecnej, uznali za wygodniejszy

sposób postępowania jęczeć i przywoływać na pomoc dawne środki ratunku: rodziców, przyjaciół, rząd, kolektywizm, wedle utartej formuły wieków przeszłych. Cały ten zastęp spóźnionych, niezdolnych, bezsilnych ugrupował się wokół formułki socjalizmu, nie będącego niczem innym, tylko mniej lub więcej zmodyfikowanym zmartwychwstałym komunizmem, który stał się przyczyną niemocy i bezsilności ludów wschodnich.

Podobnież w przeszłym wieku cechy robotnicze, zagrożone zagładą w obec powstania wielkich warsztatów, połączyły swe wysiłki w ostatecznej próbie oporu: wystarały się o pomnożenie przepisów ścieśniających, które miały im zapewnić monopol pracy i zabezpieczyć je przed konkurencją.

Wiadomo przecież, że to wszystko na nic się nie zdało i że nieubłagany bieg wypadków zgładził na zawsze te przeżyte instytucje.

Największy błąd socjalizmu stanowi to, że jest on anachronizmem i że przemocą pragnie iść przeciw prądowi wypadków, pchającemu świat na nowe tory. Wszystkie usiłowania jego lepiej tylko uwydatniają tę potęgę wypadków, przeciw której, na wzór dawnych stowarzyszeń, ostateczny a daremny podnosi protest.

Jedynym, dotykającym rezultatem socjalizmu będzie osłabienie, a co za tem idzie nieodwołalne pogębienie owych zaślepionych, oczekujących dla podźwignienia się pomocy jakiegoś urojonego zbawcy.

Socjalizm nie jest czemś, co powstaje, tylko czemś, co zamiera.

Tak więc, w jakibądź sposób roztrząsamy i rozpatrujemy fakty, wszystkie doprowadzają nas do jednego wniosku, a mianowicie, że świat postępuje, że my postępujemy wraz z nim ku coraz większemu wzrostowi inicjatywy indywidualnej; tym sposobem

tylko zwyciężyć można dzisiaj, więcej niż kiedykolwiek

A teraz zapytuję: czy obowiązek nasz społeczny ogranicza się na bezskutecznem głoszeniu zasad moralności? Czy nie polega raczej na zdawaniu sobie sprawy z warunków społecznych, bez których nie może się dokonać podźwignienie i postęp, skoro wykazaliśmy jasno, że wpływ oddziaływania moralnego jest niedostateczny? Obowiązek nie polega raczej na wystąpieniu w charakterze obrońcy i rozkrzewiciela tych oswobodzających prawd socyalnych?

Ale może kto poweźmie obawę, że tą drogą cząstka moralna zostanie poświęcona, zagłuszona wobec przemożnego wzrostu inicjatywy indywidualnej, pod wpływem idei *self help'u*; może się kto będzie lękał poniżenia człowieka, rozwoju egoizmu, stłumienia poczucia ideału, ducha poświęcenia i miłosierdzia, zaniku miłości bliźniego, oraz innych niepomysłnych objawów...

Chciałbym, na zakończenie, uspokoić czytelnika co do tej kwestyi.

Wskutek godnej uwagi łączności spraw ludzkich, społeczeństwa o silnie rozwiniętej inicjatywie indywidualnej są zarazem najbardziej sprzyjającym ogniskiem energicznego, intensywnego, odpornego życia moralnego. Jest to łatwe do pojęcia zjawisko. Działanie wpływu moralnego polega głównie na pokonywaniu samego siebie. Otóż urząd społeczny, zmuszający do liczenia jedynie na pomoc własną, jest najsurowszą szkołą ogólną, uczącą jak zwalczać samego siebie; nic tak nie sprzyja rozwojowi „życia poważnego“, jak prawdziwa szkoła poświęcenia i ofiary, najnaturalniejsza i najstosowniejsza do zastosowania dla ogółu. Konieczność ta wymowniejsza jest od nawoływań kaznodziejów i moralistów, które często wchodzą jednym uchem, a drugim ula-

tuja. Fakty są bardziej naglącym bodźcem do czynu, aniżeli słowa.

Powiedziano jest: W pocie czoła zarabiać będziesz na chleb powszedni.

Te słowa są podstawą nie tylko potęgi społecznej, ale i potęgi moralnej.

Narody, które za pomocą różnych małych wybiegów wylamują się z pod ogólnego prawa pracy osobistej i intensywnej, ulegają poniżeniu, upadkowi moralnemu; tak się ma czerwono-skóry w stosunku do mieszkańców zachodu; tak się mają ludy łacińskie i germańskie w stosunku do ludów anglo-saksońskich.

K O N I E C.

SPIS RZECZY.

Str.

KSIĘGA III.

| | |
|--|----|
| Francuz i Anglo-Sas w zyciu publicznem | 3 |
| Rozdział I. Personal polityczny we Francyi i w Anglii | — |
| Rozdział II. Oporność Anglo-Saksonów względem socyjalizmu | 29 |
| Rozdział III. Różnice, zachodzące w pojęciu ojczyzny przez Francuza i Anglo-Saksona. | 36 |
| Rozdział VI. Odrębność poglądów Anglo-Saksona i Francuza na solidarność | 51 |
| Rozdział V. Jaki ustroj społeczny najbardziej sprzyja szczęściu? | 70 |
| Rozdział VI. Niedostateczność oddziaływania moralnego i uszlachetnienie społeczne. | 95 |



WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „**BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH**“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „**GAZETY POLSKIEJ**“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1903.

| Tom | CENA | |
|---|------------------|------|
| | w oprawie brosz. | |
| | kop. | kop. |
| 261, 262. PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA. Przekład J. Paszkiewiczówny i A. Morzkowskiej. | 80 | 50 |
| 263, 268, 273. Mikołaj Rey ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO. „ <i>Biblioteka pisarzy polskich</i> “ tom I, II i III. | 120 | 75 |
| 264, 265, 266. Paweł Bourget. PO SZCZEBLACH. Powieść. | 120 | 75 |
| 267. Artur Oppman (Or-Ot). POEZYJE. | 40 | 25 |
| 269, 270. Jenerał de Wet. TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. Przekład M. G. | 80 | 50 |
| 271, 272. Bret Harte. OSTATNIE NOWELLE. Przekład W. Zyndram Kościałkowskiej. | 80 | 50 |
| 274, 275. Bogdan Jaxa Ronikier. PROMIENNA TON. Powieść. | 80 | 50 |
| 276, 277. André-Bellessort. PODRÓŻ DO JAPONII, SPOŁECZENSTWO JAPONSKIE. Przekład J. P. | 80 | 50 |
| 278. Bolesław Biernacki. BIURALIŚCI. Powieść | 40 | 25 |
| 279. Włodzimierz Trąpczyński. ALBANIA | | |

| Tom | | CENA | |
|-----------|--|-----------|--------|
| | | w oprawie | brosz. |
| | | kop. | kop. |
| | I MACEDONIA, KRAJ I LUDZIE. | 40 | 25 |
| 280. | M. Domańska. CICHĄ MOC. Powieść. | 40 | 25 |
| 281. | Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I. | 40 | 25 |
| 282, 283. | Maurycy Jókai. CZARNA KREW. Powieść, przełożyła B. Jaroszevska. | 80 | 50 |
| 284. | NOWELE AMERYKAŃSKIE. Nagrodzone na konkursach, przekład Emilii Węslawskiej. | 40 | 25 |
| 285, 286. | George Sand. OSTATNIA Z ALDINICH. W przekładzie i z przedmową Kazimierza Kaszewskiego. | 80 | 50 |
| 287. | Cecylia Walevska. HISTORIA DZIECI. Powieść. | 40 | 25 |
| 288. | Aleksander Kielland. KAPITAN WORSE. Powieść, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa. | 40 | 25 |
| 289. | Ostoja. NAD MORZEM. Nowelle. | 40 | 25 |
| 290. | Edmund Bogdanowicz (Nix). PAN ZA-GŁOBA i DYOGENES. | 40 | 25 |
| 291, 292. | Th. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych. ŻYCIE HODOWCOW AMERYKAŃSKICH. | 80 | 50 |
| 293. | MILIONY. Nowelle żydowskie. Przełożył Jerzy Ohr. | 40 | 25 |
| 294, 295. | Edward Rod. DAREMNE WYSIŁKI. Powieść. Tłómaczyła J. P. | 80 | 50 |
| 296. | Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“. Tom II. | 40 | 25 |
| 297, 298. | Multatuli. MAKŚ HAVELAAR. Tłómaczyła Br. Neufeldówna. | 80 | 50 |
| 299. | Juliusz Piasecki. WALKA. Powieść. | 40 | 25 |
| 300, 301. | Andrzej Bonnefons. SPRZYMIERZENIEC NAPOLEONA, FRYDERYK AUGUST. Przekład Zofii Przyborowskiej. | 80 | 50 |
| 302, 303. | Conan Doyle. PIES BASKERVILLE'ÓW. Powieść. Przełożyła Br. Neufeldówna. | 80 | 50 |
| 304. | E. Gebhart. PRZY DŹWIĘKU DZWONÓW. Legendy. Przekład z francuskiego M. R. | 40 | 25 |
| 305, 306. | Antoni Miecznik. CZTERY DNI. Powieść. | 80 | 50 |
| 307. | Jerome K. Jerome. DZIENNIK WYCIECZKI DO OBERAMMERGAU. Przekład z angielskiego Emilii Węslawskiej. | 40 | 25 |

| Tom | | CENA | |
|------|---|------------------|------|
| | | w oprawie brosz. | |
| | | kop. | kop. |
| 308. | Mikołaj Rej. SPÓLNE NARZEKANIE NA NIEDBAŁOŚĆ NASZĄ. „Biblioteka pisarzy polskich”. Tom IV. | 40 | 25 |
| 309. | Karol na Świetla. OSTATNIA PANI GŁOGOWSKA. Powieść. Przekład M. Cz. Przewóskej. | 40 | 25 |

Rok 1904.

| | | | |
|-------------------------------|--|-----|-----|
| 310, 311, 312, 314, 315, 316. | Z Kaczkowski. OLBRACHTOWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysława Jabłonowskiego. | 240 | 150 |
| 313. | Hans Leuss. Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąpczyńskiego. | 40 | 25 |
| 317. | T. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTEŻONE W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka. | 40 | 25 |
| 318. | Anatol France. HISTORIA KOMICZNA. Powieść Przekł. Emili Węśławskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego. | 40 | 25 |
| 319. | Kazimierz Gliński. OBRAZKI Z PRZEŞŁOŚCI. z przedmową Henryka Gallego. | 40 | 25 |
| 320, 321, 322. | Henryk Brandt. PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego. | 120 | 75 |
| 323. | Iwan Wazow. WYBÓR NOWEL. Przekład Józefy Anc. | 40 | 25 |
| 324, 325. | Deotyma. SOBIESKI POD WIEDNIEM. | 80 | 50 |
| 326, 327. | Wilhelm Depping. JAPONIA. | 80 | 50 |
| 328, 329. | Grazia Deledda. PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościełkowskiej. Powieść. | 80 | 50 |
| 330. | Wiktor Doleżan. MANDŻURYA. | 40 | 25 |
| 331. | Jerzy Leueven. H. IBSEN. W tłumaczeniu A. Kordzińskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego. | 40 | 25 |
| 332, 333. | PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pachciarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść. | 80 | 50 |
| 334. | Werner Siemens. WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tołwińskiego. | 40 | 25 |
| 5. | Fr. von Eeden. MAŁY JANEK. Z przedm. i tłum. F. L. Lubodziecka. Powieść. | 40 | 25 |

CENA

w oprawie brosz.

| Tom | | CENA | |
|-----------|--|------|------|
| | | kop. | kop. |
| 336. | Eliasz Metschnikoff. STUDYA NAD NATUREM LUDZKĄ. Streścił D-r E. B. | 40 | 25 |
| 337. | Stanisław Pilecki. HISTORIA UBOGIEJ PANNY. Powieść. | 40 | 25 |
| 338, 339. | Maurycy Barrés. WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść. | 80 | 50 |
| 340, 341. | Marya Ratul-Rakowska. PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego. | 80 | 50 |
| 342, 343. | Maurycy Jókaj. BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść. | 80 | 50 |
| 344. | NOWELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska. | 40 | 25 |
| 345, 346. | M. Czerny. DNO LETY. Powieść. | 80 | 50 |
| 347, 348. | Edmund Demolins. POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego. | 80 | 50 |

Dla prenumeratorów „*Biblioteki Dzieł Wyborowych*“
wydaje się **wielkie i znakomite dzieło**

Juliana Adolfa Świącickiego

p. t.:

HISTORIA LITERATURY Powszechniej

Z ILUSTRACYAMI

którego każdy tom stanowi **osobną całość** i może
być oddzielnie kupowany.

Treść wydanych dotychczas tomów:

| | | CENA | |
|-----------|--|------------------|------|
| | | w oprawie brosz. | |
| | | kop. | kop. |
| Tom I. | LITERATURA BABILOŃSKO - ASSY- RYJSKA I EGIPSKA. Stron 384. Ilustr. 91. 1901 r. | 175 | 150 |
| Tom II. | LITERATURA CHINSKA I JAPON- SKA. Stron 447. Ilustr. 97. 1901 r. | 175 | 150 |
| Tom III. | LITERATURA ARABSKA. Stron 416. Ilustr. 52. 1901 r. | 175 | 150 |
| Tom IV. | LITERATURA INDYJSKA. Stron 462. Ilustr. 68. 1902 r. | 225 | 170 |
| Tom V. | LITERATURA PERSKA. Część I. Stron 239. Ilustr. 35. 1902 r. | 175 | 150 |
| Tom VI. | LITERATURA PERSKA. Część II. Stron 239. Ilustr. 27. 1902 r. | 175 | 150 |
| Tom VII. | LITERATURA ŻYDOWSKA. Część I. Stron 264. Ilustr. 49. 1902 r. | 175 | 150 |
| Tom VIII. | LITERATURA ŻYDOWSKA. Część II. Stron 288. Ilustr. 29. 1903 r. | 175 | 150 |
| Tom IX. | LITERATURA ŻYDOWSKA. Część III. Stron 368. Ilustr. 24. 1903 r. | 175 | 150 |
| Tom X. | LITERATURA ŻYDOWSKA. Część IV. Stron 312. Ilustr. 11. 1903 r. | 175 | 150 |



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty

we Lwowie i całym Państwie Austryackim:

| | |
|---------------------------------|--------------|
| Rocznie (52 tomy) | złr. 14 |
| Półrocznie (26 tomów) | „ 7 |
| Kwartalnie (13 tomów) | „ 3 cent. 50 |
| Miesięcznie (4—5 tomów) | „ 1 „ 20 |

Cena każdego tomu 30 cent.

REDAKTOR i WYDAWCA:

Franc. Jul. Branowski.

Redakcya i Administracja: Warszawa, Warecka 14. — Telefonu 88.
we Lwowie Plac Maryacki 14.

DRUK J. SIKORSKIEGO WARECKA 14.

<http://rcin.org.pl>

